ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 3(88) • Marzec 2013 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Twardy jak Skała

Cezary Skała jako płk William Lawless

Chłopiec schylił się i sięgnął pod łóżko. Wyciągnął stamtąd książkę. Nie miał na nią innego miejsca, bo była tak duża, że nie mieściła się na regale. Otworzył ją i zaczął przewracać z zachwytem stronice. Pod rysunkami były jakieś napisy, ale w języku niemieckim, którego nie znał, więc zostały do oglądania obrazki. Z nich spoglądały na niego figurki żołnierzy w wielobarwnych mundurach. Chłopcu najbardziej podobały się wysokie czapki żołnierzy. Niektóre miały umocowane na szczytach piękne barwne pióropusze. Uniformy żołnierzy były niby podobne, lecz po uważnym wpatrzeniu się w rysunek okazywało się, że różnią się od siebie i kolorami, i szczegółami wyposażenia. Chłopiec z wypiekami na twarzy jeszcze uważniej pochylił się nad książką, i po chwili zapomniał o całym świecie.

– Czarek, gdzie jesteś? Znowu siedzisz nad tą niemiecką książką! Lekcje odrobione?

– Już idę, mamo.

Minęło ponad trzydzieści lat. W 2004 roku przechodząc obok księgarni, poważny już Cezary Skała zauważył na wystawie książkę *Kampania 1813*. Jej czerwone tło błyskawicznie otworzyło w jego umyśle obraz tamtej dużej, cudownej książki spod łóżka, która zaginęła nie wiedzieć kiedy. Ogromną falą zalały Czarka wspomnienia z dziecięcych lat. Znów poczuł zachwyt, jaki odczuwał zawsze, gdy przewracał karty książki z barwnymi figurkami żołnierzy. Wrócił na chwilę do teraźniejszości i postanowił, że kupi tę książkę, którą przed chwilą zauważył.

Gdy znalazł się w domu, zorientował się, że jednak zapomniał o kupnie. Wtedy zaczął poszukiwania po bibliotekach i czytelniach. Bez rezultatu. Wreszcie w przepastnych otchłaniach Internetu natrafił na ślad opracowania Mariusza Olczaka *Kampania 1813 Śląsk i Łużyce*. W końcu kupił tę książkę, chociaż mocno przepłacił. W końcu mógł czytać o tym okresie, który pamiętał z obrazków dzieciństwa. Po pierwszym przeczytaniu *Kampanii 1813* przygoda Czarka z okresem napoleońskim na ziemi złotoryjskiej potoczyła się lawinowo.

– Jestem tylko amatorem i pasjonatem historii, zwłaszcza Śląska, Łużyc i okolic nazywanych ziemią złotoryjską. Przeczytanie książki Olczaka uporządkowało moją dotychczasową bardzo „porozrzucaną” znajomość okresu wojny saskiej 1813 roku (jak ją nazywali jej uczestnicy) – opowiada Czarek. – Książka bogata w przypisy zachęciła do skorzystania z nich i przy pomocy Internetu, stosując odpowiednie frazy, zacząłem docierać do szerszych informacji. A i tak ciągle mam niedosyt i uczucie ciągłej niewiedzy.

Podczas rozmów z Czarkiem o okresie napoleońskim, a zwłaszcza o 1813 roku, już po kilku chwilach daje się zauważyć ogrom ignorancji jego rozmówców i rozległą wiedzę właśnie Czarka. Takiej znajomości tematu mógłby mu pozazdrościć niejeden wykształcony historycznie naukowiec. Trzeba przy nim ostrożnie używać słów *potyczka* czy *bitwa*, *czako* i *czapka*, *mundur* czy *uniform*. Gdy dla przeciętnych ludzi to zwykłe synonimy, dla Czarka każde z nich stanowi jednoznaczny sens i może być użyte jedynie w odpowiednim kontekście. Gdy, nie daj Boże, interlokutorzy uparcie używają ich zamiennie, powodują zbytnią nerwowość pana Skały.

Zgłębiając temat Czarek z mapami w ręku i innymi dokumentami źródłowymi z XIX wieku zwiedził szczegółowo ziemię złotoryjską. Po kilku latach takich wycieczek żadne wzgórze czy większa kupka kamieni, które odegrały jakąś rolę w kampanii napoleońskiej, przestały stanowić tajemnicę. Może o nich opowiadać bardzo szczegółowo i bardzo długo, roztaczając przed zdumionym rozmówcą obraz bitew, potyczek i licznych szturmów 1813 roku wojsk pruskich i napoleońskich.

Czarek ze swoją pasją długo był samotny. Znalazł sojuszników w 2011 roku, kiedy to Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej zaczęło realizować unijny projekt *Razem przez 800 lat*. Oto jak wówczas opowiadał o tym wydarzeniu:

– Udało nam się wygrać konkurs na projekt, aby pozyskać pieniądze z Unii Europejskiej w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Dolnośląskiego. Wspólnie z Pawłem Buniowskim projekt opracowali Roman Gorzkowski (kierownik projektu), Aleksander Borys i ja. Skupiliśmy się na okresie napoleońskim, który jest mało znany, zwłaszcza rok 1813.

W ramach projektu jest warsztat archeologiczny, historyczny i teatralny. Ja zaangażowałem się w pracę tego ostatniego. Jestem kimś w rodzaju doradcy do spraw militarnych, dbam o stronę graficzną projektu, czyli jestem w nim *od czarnej roboty*. Ukoronowaniem projektu będzie rekonstrukcja bitwy o Rokitnicę na wzgórzu kościelnym z udziałem przede wszystkim młodzieży, która uczyła się musztry i przygotowywała sobie mundury podczas zajęć w warsztatach teatralnych. Bitwa nawiązuje do potyczki, która miała miejsce na wzgórzu kościelnym 17 sierpnia 1813 roku. My będziemy grać rolę żołnierzy 3. Pułku Cudzoziemskiego Irlandzkiego wojsk napoleońskich.

Rekonstrukcja bitwy o Rokitnicę w ramach unijnego projektu odniosła ogromny sukces. Dzięki temu Czarek zaczął być postrzegany jako znawca kampanii napoleońskiej na ziemi złotoryjskiej. Teraz nadszedł czas, aby znaleźć podobnych sobie. Na Dolnym Śląsku działa sporo grup rekonstrukcyjnych, które poprzez odgrywanie bitew i potyczek popularyzują historię okresu XIX wieku. Czarkowi udało się zostać członkiem jednej z nich.

– Od roku należę do grupy rekonstrukcyjnej przy Towarzystwie Przyjaciół Gminy Krotoszyce. Rekonstruuje ona 2. Pułk Piechoty i Artylerii Pieszej Księstwa Warszawskiego. Poprzez „budowanie” umundurowania i wyposażenia wybranej formacji armii wojsk napoleońskich ma się uczucie przenoszenia w czasie. Ciągle dbamy o realia, oczywiście nie zapominając o tym, że ma to być zabawa, ale szczególnego rodzaju.

Przystępując do grupy rekonstrukcyjnej w Krotoszycach Czarek musiał wybrać formację, którą chciał rekonstruować. Zależało mu na takiej, która nawiązywałaby do wydarzeń, jakie miały miejsce w Złotoryi i jej okolicach. Po wielu poszukiwaniach natrafił na ślad 3. Pułku Piechoty Legionu Irlandzkiego Cudzoziemskiego. To było to! Teraz trzeba było jeszcze dopracować szczegóły umundurowania oraz, co było nieco trudniejsze, przekonać kolegów z grupy rekonstrukcyjnej, że taka formacja istniała naprawdę.

– W grupie przyjęto mój pomysł z mieszanymi uczuciami, ale z biwaku na biwak starałem się wyjaśniać moją decyzję i sądzę, że w końcu zostałem zaakceptowany – mówi z ulgą.

Szukając informacji na ten temat, trafił Czarek na ówczesnego dowódcę jednego z legionów. Był nim niejaki Wiliam Lawless, który wsławił się szczególnym męstwem, był wielokrotnie ranny. Nawet gdy już stracił nogę, w dalszym ciągu brał udział w bitwach. Czarkowi spodobały się też mundury pułku, które miały zieloną barwę i żółte dodatki (kolory te tworzą flagę Złotoryi). Poza tym jedenastu żołnierzy z legionu otrzymało order Legii Honorowej za szturm Wilczej Góry w 1813 roku, a ponieważ aż 201 żołnierzy było Polakami, to kto wie, czy któryś z nich nie otrzymał tego odznaczenia.

Teraz już nie było nad czym się zastanawiać. Od tej pory na biwakach historycznych grupy rekonstrukcyjnej Cezary Skała przyjmuje postać pułkownika Wiliama Lawlessa z 3. Pułku Piechoty Legionu Irlandzkiego Cudzoziemskiego.

W domu Urszuli i Cezarego Skałów w Kozowie w jednym z pokoi został wydzielony specjalny kącik poświęcony kampanii napoleońskiej na Śląsku. Na ścianie wiszą ryciny przedstawiające potyczki z tych czasów i bardzo dokładny wizerunek żołnierza, z którego Czarek brał wzór na swój mundur. Na półce leży książka *Kampania 1813* z licznymi zakładkami. Widać, że ciągle z niej się korzysta. W kąciku nie mogło zabraknąć elementów uzbrojenia. Są tam szpady, kilka karabinów i pistolet. Na honorowym miejscu umieszczono oficerskie czako z wysokim białym pióropuszem, żeby można było bez trudu zauważyć oficera podczas bitwy. Właśnie to czako robił Czarek samodzielnie przez kilka tygodni i cieszył się jak dziecko, gdy w końcu widać było efekty jego długiej i mozolnej pracy poczynając od szukania wzorów w Internecie, a kończąc na dłubaninie przy robieniu łusek i sznurów. Na swoim profilu Facebooka zamieszczał kolejne zdjęcia z pracy nad czakiem.

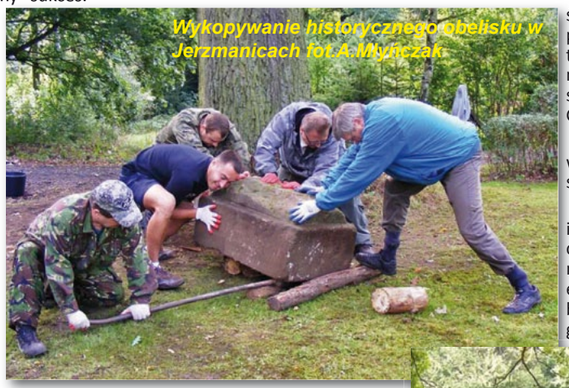

Wykopywanie historycznego obelisku w Jerzmanicach fot.A.Młyńczak

– Wiesz, Agnieszko, Czarek zupełnie zwariował na tym punkcie – mówi Urszula Skała, lecz jej oczy i wyraz twarzy przeczą temu, co mówi, gdy patrzy z dumą i podziwem na swojego męża. – Robicie zaproszenia, tak? Pracujcie dalej, nie przeszkadzam. Zrobić herbaty?

Aktywność Czarka na polu popularyzowania kampanii napoleońskiej na ziemi złotoryjskiej ostatnio przeszła w zupełnie nową jakość.

Rekonstrukcja potyczki w Leszczynie fot. R.Pawłowski

– Na starej mapie znalazłem dwa symbole obelisków. Narysowane zostały przy drodze między Jerzmanicami a skrzyżowaniem do Jeleniej Góry. Wybrałem się w to miejsce uzbrojony w szpadel. Moją uwagę zwrócił stary dąb, który mógł wskazywać na istnienie obelisku, ponieważ takie dęby Prusacy sadzili w setną rocznicę kampanii napoleońskiej. Ku mojej radości, gdy odgrzebałem podejrzany pagórek przy samym dębie, zobaczyłem regularny kształt części przyziemnej obelisku. Zmierzyłem go dokładnie i porównałem z taką samą częścią obelisku pod Wyskokiem. Okazało się, że wymiary były podobne, a kształt identyczny. To mnie przekonało, że odnaleziony fragment był obeliskiem poświęconym wydarzeniom związanym z walkami o Wilczą Górę. Zresztą ukształtowanie terenu przemawia za tym, że Francuzi właśnie w tym miejscu musieli przekroczyć po moście rzekę Kaczawę.

To było epokowe odkrycie, które przeszło najśmielsze marzenia Czarka. Wyobraźnia szalała, posuwając coraz to nowe pomysły wykorzystania tego odkrycia. Historia dała mu szansę, której nie można było zbagatelizować. Zwłaszcza że zbliżał się 2013 rok czyli dwusetna rocznica walk o Wilczą Górę i w ogóle kampanii napoleońskiej na Śląsku.

– Zdałem sobie sprawę, że sam nie dam rady wydobyć kamieni – o początkach historii z obeliskiem opowiada Czarek.

O swoim odkryciu opowiedział przyjaciołom i szybko zdecydowano, że należy wydobyć to, co leży pod dębem, a potem się zobaczy. Pewnej wrześniowej soboty grupka entuzjastów epoki napoleońskiej podjęła się zadania wydobycia przyziemia obelisku. Mimo braku ciężkiego sprzętu dwustukilogramowy kamień został wykopany spod dębu i dumnie umieszczony na miejscu, gdzie prawdopodobnie postawiono go w 1913 roku.

Wykopywanie historycznego obelisku w Jerzmanicach fot.A.Młyńczak

– Nie była to lekka praca, ale skuteczna. Kajetan Kukla do dziś pamięta swoje bolące plecy. W wykopaliskach udział wzięli Dorota Konieczna z synkiem, Agnieszka Młyńczak, Kajetan Kukla, Przemysław Markiewicz, Michał Maciejak, Piotr Iwanowski oraz ja. Zadowoleni z osiągniętego sukcesu zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie i rozjechaliśmy się do domów – wspomina Cezary Skała. – To był dopiero początek tego, co nastąpiło potem. Świadomi nadchodzącej dwusetnej rocznicy wydarzeń napoleońskich w Złotoryi, dyskutowaliśmy o tym w siedzibie TMZZ podczas kolejnego zebrania Rady Programowej. I wtedy powstał pomysł próby zrekonstruowania obelisku.

Kącik napoleoński w domu Czarka fot.A.Młyńczak

Pomysł ten postanowiono przedstawić zarządowi TMZZ. Jednak tutaj entuzjastów epoki napoleońskiej spotkał ogromny zawód.

– Ku naszemu zdumieniu zarząd nie wyraził chęci podjęcia tematu, a o treści zapisu w protokole z posiedzenia zarządu chcę zapomnieć – mówi z goryczą Cezary.

Jakiś czas był przybity i stracił chęć do wszystkiego. Po przełknięciu gorzkiej pigułki zawodu, ze zdwojoną energią zabrał się do poszukiwań innych partnerów do zrealizowania pomysłu. „Nie poddawaj się, bądź twardy jak skała!” – mówił sobie. O dziwo, bardzo szybko znalazł wielu sojuszników. Funkcję organizatora wzięło na siebie Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Wsi Jerzmanice Zdrój, a ze strony Starostwa, Gminy Złotoryja oraz Nadleśnictwa nadeszły zapewnienia o dofinansowaniu projektu. Ku radości i zdumieniu Czarka (i piszącej te słowa) Rada Sołecka i członkowie jerzmanickiego Stowarzyszenia do całej sprawy podeszli entuzjastycznie, gdy podczas pierwszego zebrania zostały im przedstawione założenia projektu.

– Bo trzeba mieć świadomość historyczną miejsca, w którym się mieszka, pani Agnieszko – stwierdziła jedna z kobiet uczestniczących w zebraniu.

Entuzjazm Czarka i jego niespożyta energia są ogromne i zaraźliwe. Pomimo niechęci ze strony zarządu TMZZ i władz miasta pozyskuje on stale coraz to nowych zwolenników i partnerów swojego najważniejszego projektu, czyli uroczystego odsłonięcia obelisku upamiętniającego walki o Wilczą Górę i bitwę o Złotoryję 1813 roku. Jego sumiennie prowadzony profil na Facebooku z wieloma zdjęciami i informacjami o kolejnych etapach działań stanowi swoistą kronikę wydarzeń. Przyciąga to bez przerwy nowych entuzjastów nawet z Niemiec i Francji. Wpisy na profilu są w różnych językach. Na uroczystość odsłonięcia obelisku przyjadą grupy rekonstrukcyjne z Niemiec, Polski, Belgii i Francji. Będzie salut armatni, przemarsz wojska przez wieś wraz z cywilami przebranymi w stroje z epoki empire oraz festyn na boisku połączony z konsumpcją zupy żołnierskiej. A przed tym wydarzeniem będzie jeszcze jedna ciekawa rzecz. Mianowicie scenka rodzajowa podpisania rozkazu do bitwy nad Kaczawą przez Macdonalda, który był wtedy dowódcą Armii Bobru Cesarstwa Francuskiego. Odbędzie się to w historycznym domu Rynek nr 4 w Złotoryi, gdzie w XIX wieku była gospoda Pod Pelikanem, a teraz jest tu piekarnia.

Wydarzenie w Jerzmanicach jest częścią biwaku historycznego, jaki będzie miał miejsce w Warmątowicach Sienkiewiczowskich w dniach 23 - 25 sierpnia 2013 roku. Uroczystość odsłonięcia obelisku w Jerzmanicach Zdroju odbędzie się w sobotę 24 sierpnia 2013 roku. Swój przyjazd zapowiedziało około stu żołnierzy rekonstruktorów. Organizatorzy spodziewają się dużej grupy gości, zapowiada się świetna zabawa.

– W imieniu własnym, Stowarzyszenia na rzecz Rozwoju Wsi Jerzmanice Zdrój oraz wszystkich osób zaangażowanych w realizację przedsięwzięcia zapraszam mieszkańców gminy i miasta Złotoryja do Jerzmanic Zdroju na uroczystość odsłonięcia obelisku – godzina 11.00. Dalsza część imprezy odbędzie się o godzinie 17.00 w Warmątowicach Sienkiewiczowskich. Zostanie tam przedstawiony pokaz potyczki napoleońskiej w wykonaniu około dwustu żołnierzy rekonstruktorów. Serdecznie zapraszam do zabawy w epokę napoleońską! – pułkownik Wiliam Lawless (w cywilu Cezary Skała).

tekst: entuzjastka epoki napoleońskiej Agnieszka Młyńczak

https://www.facebook.com/Jerzmanice
https://www.facebook.com/events/302752399840282/
https://www.facebook.com/Pulk2GiPiechotyKsiestwaWarszawskiegoKrotoszyce

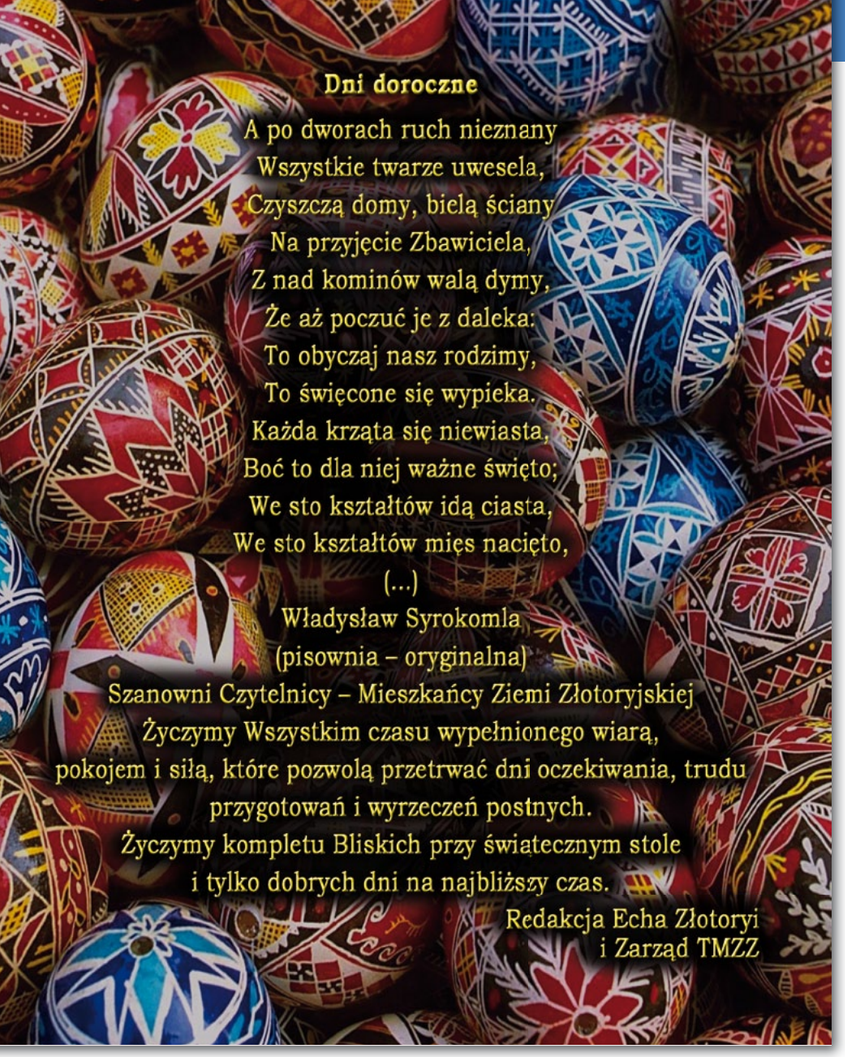

Kresowa Wielkanoc

Święta Wielkanocne były kolorowe i radosne. Poprzedzał je – tak jak i teraz – Wielki Post. Zanim jednak mieszkańcy rozpoczęli ten czas refleksji i zadumy, bawili się beztrosko podczas karnawału (zapustów). Był to czas licznych odwiedzin, robótek ręcznych, przędzenia lnu, tańców i rozmów. Domy rozbrzmiewały muzyką i gwarem. Środa Popielcowa kończyła ten hałaśliwy czas.

Powagę towarzyszącą Postowi podkreślano czarnym strojem, uczestnictwem w Gorzkich Żalach i Drodze Krzyżowej. Na Niedzielę Palmową w naszej rodzinie wyplatano piękne palmy, które zanoszono do kościoła na poświecenie. W Wielki Czwartek cała rodzina udawała się na mszę święta i z procesją podążała nad strumyk w pobliskim lesie. Po poświęceniu źródełka każda rodzina nabierała wodę do naczynia i zanosiła do domu. Wodzie przypisywano cudowną moc, która pomagała chorym wrócić do zdrowia.

Dzieci niecierpliwie czekały na ,,święcone" i kiedy nadchodził czas, bez skargi dźwigały ciężki kosz z wiktuałami do kościoła. Post zrobił swoje, wygłodniałe zmysły łowiły z kosza zapachy, które przyspieszały wydzielanie soków trawiennych – przygotowując żołądek na ucztę. Zawartość kosza przedstawiała się imponująco: dwie baby, kiełbasy, korzeń chrzanu, jaja, chustki masła i plaskanki sera, sól oraz chleb. Tu i ówdzie słyszało się o jakichś zbytnikach, które podgryzały święcone, a nawet wyjadały całe jaja. I tym gorliwiej, po powrocie do domu trzykrotnie obiegano posesję, by odpędzić diabła od domostwa. Wreszcie zasypiano czując rozkoszny smak wielkopiątkowej zupy ziemniaczanej z czosnkiem, a zmysły smaku wyostrzały się w oczekiwaniu na Wielkanocne Śniadanie. Po porannej mszy najstarszy z rodu odmawiał modlitwę, dzielił jajkiem i składał życzenia. A w Lany Poniedziałek ,,chłopcy suszyli dziewczyny".

Wspomnienia rodzinne Anety Gregulskiej opracowała Danuta Sosa.

Wielkanocna bułka mojej babci

Przepis przywieziony z kresów.

1,25 kg pszennej mąki, 5 jaj, 1 szklanka oleju, 0,5 l mleka, 10 dag drożdży, 2 łyżki cukru, 3 łyżeczki soli, 1 jajko do smarowania, czarnuszka do posypania.

Drożdże rozrabiam w głębokim talerzu z 2 łyżkami cukru, 2 łyżkami mąki i odrobiną mleka. Lekko podgrzewam pozostałe mleko. Do miski przesiewam mąkę, dodaję do niej wyrośnięte drożdże, wbijam jaja i dodaję sól. Wyrabiam ręcznie dolewając stopniowo ciepłe mleko. Gdy ciasto jest jednolite, ciągle wyrabiając stopniowo dolewam olej. Kiedy ciasto wchłonie tłuszcz, wyrabiam jeszcze przez chwilę i odstawiam w ciepłe miejsce do wyrośnięcia. Kiedy zwiększy objętość o połowę, dzielę na 3 części. Na blacie wysypanym mąką splatam 3 grube warkocze. Wykładam do foremek wysmarowanych olejem i posypanych mąką. Odstawiam do piekarnika nagrzanego do 50 stopni do wyrośnięcia. Delikatnie wyjmuję z piekarnika, zwiększam temperaturę do 175 stopni a bułkę smaruję rozkłóconym jajkiem i posypuję czarnuszką. Piekę na złoty kolor. Podczas śniadania wielkanocnego bułki się nie kroi a tylko odłamuje się kawałki warkocza.

Anna Chrzanowska

Biały barszcz

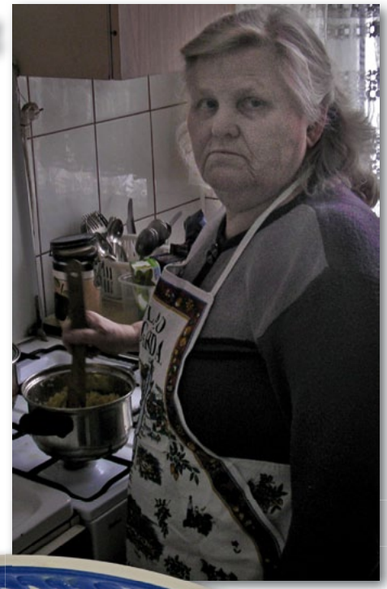

0,5 l kwasu z kiszonej kapusty, 2 kostki rosołowe (może być wywar mięsny), 6 szklanek wody, 2 średnie marchewki, 1 pietruszka, pół małego selera, 6 średnich ziemniaków, 6 łyżek kwaśnej śmietany, 2 łyżki mąki, 4 ziarna ziela angielskiego, 1 listek laurowy, 4 nieduże wędzone kiełbasy.

Oczyszczone warzywa gotuję z kostkami rosołowymi i pokrojonymi w duże kawałki ziemniakami. Pod koniec gotowania dodaję kiełbasę i przyprawy, gotuję jeszcze chwilę (kiełbasa nie może popękać). Dolewam kwas z kapusty (jeżeli jest bardzo kwaśny, można zmniejszyć jego ilość – wg indywidualnego smaku). Śmietanę roztrzepuję dokładnie z mąką, wlewam do niej trochę zupy, mieszam dokładnie i wlewam do garnka z zupą. Ponownie doprowadzam do wrzenia, odstawiam. Podaję z porcją kiełbasy i gotowanym na twardo jajkiem.

Gizela Janiszek

Złotoryjskie Echa

Obok słów Redaktora Naczelnego nie można przejść obojętnie! A w poprzednim numerze namawiał do prezentowania wzmianek o Złotoryi, znajdujących się między innymi w przeróżnych publikacjach.

W 2009 r. Wydawnictwo Czarne z Wołowca wydało książkę „20 lat nowej Polski w reportażach według Mariusza Szczygła". Jak wiadomo, autor jest znanym dziennikarzem, reportażystą i pisarzem, laureatem licznych nagród. Pamiętamy go m.in. z programu telewizyjnego „Na każdy temat", pracy w „Gazecie Wyborczej" oraz innych czasopismach a także z licznych publikacji. Wszyscy oczywiście wiedzą, że Mariusz Szczygieł urodził się w 1966 r. Złotoryi, do której często wraca wspomnieniami a także niejednokrotnymi wizytami.

Nic dziwnego, że we wspomnianych reportażach kilka razy pojawia się nasze miasto. Zacytujmy najciekawsze fragmenty:

1.07.90. Jestem w Złotoryi. Od dziś podwyżki cen gazu, prądu, ciepła, znaczków pocztowych, a nawet opłaty za telewizor. Po 50, 80 i 100%. „Zagłada" – mówi moja mama. „To jest likwidacja człowieka" – pani Zosia Andrzejczak.

2.07.90. Kiedy wracam ze Zł. do „G. Wyb.", czuję podstawową różnicę. W redakcji NIKT nie ma wątpliwości, że dobrze się stało, że upadła komuna. Wyjdę poza redakcję i tych cudzych wątpliwości mnie dopada mnóstwo. Jakby stado ptaków chciało mnie obsiąść. No, ale nie mogę cały czas siedzieć w redakcji.

4.09.90. W Złotoryi. Z muru: „Chcesz mieć kolorowe sny – wypij Lotosy 3". Sąsiadka: „X pracuje w fabryce butów. Ale już nie wynosi kleju z zakładu. Jest w ciąży i nie chce, żeby dziecko potem kradło".

Przyjechałem bo „gdzieś w Polsce" (to już lepiej w swoim mieście) mam sprawdzić, czy szkoła się zmieniła. Czy zmienili się dyrektorzy? Jeśli nowi, to skąd się wzięli?

5.09.90. Kończę 24 lata.

Historia dyrektora liceum w Złotoryi, myślałem, że padnę. Pod koniec roku szkolnego 1989/1990 rady pedagogiczne mogły się pozbyć dyrektorów partyjnych lub niekompetentnych. Ten nasz: partyjny, miał pseudonim „Gnida", w 83 zmuszał uczennice do udziału w zabawie w roli fordanserek pododdziału ZOMO (podziemny „Wolny Głos" nawet o tym pisał: „Oporne próbował karać").

A teraz?

Na ścianie swojego gabinetu powiesił własne zdjęcie od komunii i dostał od nauczycieli wotum zaufania.

22.09.91. Złotoryja. Chcę o wyborach, a tu NIKT nie jest zainteresowany. Minęły dwa lata nowej Polski i wszyscy ją mają w dupie. Wujek Białecki – stłamszony. „Zawsze miałem własne zdanie polityczne, teraz wstyd się przyznać, swego zdania nie mam". Mąż siostry mojej, Kostek, po politechnice, otworzył hurtownię i zaopatruje 14 sklepów. Ale jest zdolny! „Ale co do wyborów zielony jestem", mówi. Pani Krysia nie wie, na kogo głosować, ale prosi, żeby napisać: „Młodym bym dawała pracę, a nie starym. Stary się napije, położy w rowie i będzie spał, a młody jak nie będzie miał pracy, to zacznie wariować, większe niebezpieczeństwo z tego może być".

23.09.91. Wieczorem zapisuję zwroty ze „Studia wyborczego" w TVP. „Tato – podpuszczam ojca – co to jest elektorat? Cały czas mówią w telewizji »elektorat«". „A ja wiem… maszyna chyba jakaś".

Jutro pójdę po ludziach, będę pytał, jak rozumieją różne słowa, których używają politycy i dziennikarze w kampanii wyborczej do parlamentu.

24.09.91. „Korektę ustawodawczą" murarz rozumie jako „coś, co się ustawia", posadzkarz jako „błąd jakiś".

„Partia stanowa" to „Partia Stana Tymińskiego" albo „stara i nowa partia".

Najlepsze: „stwarzanie społeczeństwu alternatywy" znaczy, że „będzie jeszcze gorzej" (ślusarz).

No i „elektorat". Spytałem 50 osób w dwóch fabrykach, na targu i w hotelu. Prawie NIKT nie wiedział! „Elektorat? To coś z rządu chyba" (kioskarka). „To musi być coś elektrycznego" (sprzedawca jabłek na targu).

Ludzie w ogóle nie rozumieją, co się do nich mówi. Geremek powiedział we „Wprost", że nie dorośli do demokracji. No jasne, że nie. A ktoś im pomógł?

Nikt nic nie wyciągnął z historii z Tymińskim, żadnych wniosków. Bożena Matecka, lekarka nasza: „Mam wyższe wykształcenie, a jakby UFO do mnie z telewizora mówiło".

Roman Gorzkowski

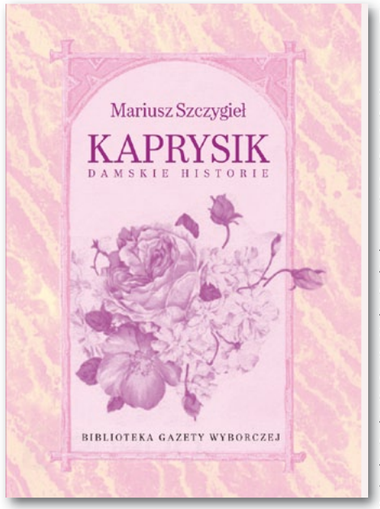

W roku 2012 ukazała się nakładem Biblioteczki Gazety Wyborczej jego książka nosząca tytuł *Kaprysik. Damskie Historie*. Jest to zbiór sześciu reportaży, które pierwotnie ukazywały się na łamach *Wysokich obcasów*.

Już w przedmowie Mariusz Szczygieł pisze tak:

„Od Autora

Od dziecka dobrze mi szło słuchanie. Wychowałem się w pralni hotelu Pod Basztą w Złotoryi (przed wojną Goldberg). Tam pracowała moja mama Stefania, moje ciotki Halina i Krystyna, a moja siostra cioteczna Hela była pokojową.

Kiedy przed trzynastą wracałem ze szkoły do pralni, pokojowe właśnie zwoziły na dół brudną pościel i opowiadania. Naga dziewczyna skoczyła z okna na szóstym piętrze i żeby zanieść ją z powrotem do hotelu, nosze zrobili z drzwi. Dwie kobiety mieszkały dłuższy czas na siódmym, jedna okazała się mężczyzną, który miał dowód na kobiece nazwisko. Małżeństwo Niemców na stole w pokoju 302 postawiło kryształową wazę, a po dwóch dniach nasypało do niej ziemi i zapakowało do walizki.

Do słuchania wychował mnie w latach siedemdziesiątych hotel Pod Basztą i jestem mu za to wdzięczny."

Andrzej Wojciechowski

Przedmioty sercu bliskie

Kiedy myślę o rodzinnych pamiątkach, zaraz nasuwa mi się znane i często przywoływane przez historyków sztuki czy kolekcjonerów antyków powiedzenie, że „człowiek jest tylko chwilą w życiu przedmiotów". Zastanawiam się, ile to już pokoleń traktowało te rzeczy jako swoje? Jakie znaczenie przypisywali im kolejni właściciele? Czy utrata ich była dotkliwa?

Moje rodzinne skarby układają się w piramidę, a wartość sentymentalna nadana przedmiotom tworzy swoistą hierarchię ważności domowo-rodzinnych pamiątek podzielonych na „po-babcine" i „po-dziadkowe" dobra. Na szczycie piramidy znajdują się przedwojenne

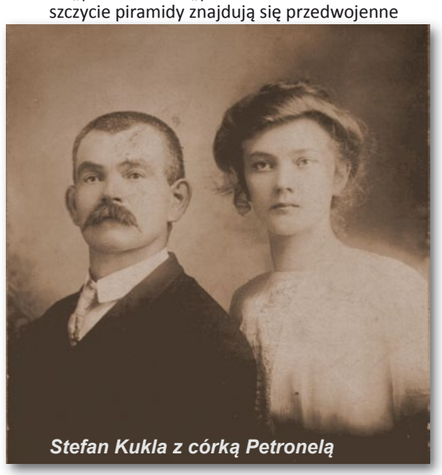

Stefan Kukla z córką Petronelą

i tuż-powojenne fotografie przedstawiające bliższych i dalszych członków rodziny. Prawdę mówiąc, rodzinie Babci z wojennej tułaczki nie ocalało nic. Kobiety (wdowa i jej cztery córki) wyrwane w środku nocy, w ciągu dziesięciu minut zmuszone do opuszczenia domu, chwyciły worek mąki i płaszcze, o przedmiotach sentymentalnych nie zdążyły nawet pomyśleć. Historia rodziny została w opuszczonym podhajeckim domu, poukładana na półkach, zamknięta w amerykańskich albumach, między skórzanymi okładkami tłoczonymi w delikatne motywy roślinne. Kilka fotografii na tekturkach z logo chicagowskich i nowojorskich zakładów fotograficznych, i te najliczniejsze - wykonane w atelier w Kutach, Wyżnicy, Kołomyi, Podhajcach i wielu innych miastach, bo liczna rodzina wywodząca się z Rożnowa koło Kut, w niepodległej Polsce rozjechała się w rożnych kierunkach. Postacie uchwycone z profilu i an face, w rozmaitych pozach i na tle zmieniających się dekoracji, portrety i grupowe - uwieczniające spotkania z kuzynostwem, rodzinne zjazdy na okoliczność ślubu, szkolne zdjęcia klasowe. Dziesiątki fotografii, za które dzisiaj dałabym każde pieniądze. Niestety, z chwilą gdy sowieci zdecydowali o dalszym życiu mieszkanek Podhajec, losy albumów i innych pamiątek stały się zagadką. Może uratowali je sąsiedzi, z czasem jednak przestali wierzyć, że ktoś przeżył wojnę i pozbyli się balastu? Może od razu trafiły do pieca? Po co komu były zdjęcia ludzi, o których wiadomo było, że mają małe szanse na powrót. Przecież stamtąd niewielu wracało.

Czasami jednak zdarzają się cuda – zwyczaj rozsyłania pamiątkowych zdjęć po rodzinie sprawił, że odzyskaliśmy niezwykle cenny portret ojca i córki, naklejony na tekturce z tłoczoną sygnaturą potwierdzającą, że zdjęcie wykonano w Nowym Yorku. Stefan i Petronela – oboje dyskretnie spoglądają w obiektyw aparatu; on - dumny ojciec, skrywający uśmiech pod wąsem, ona - delikatna, w modnym wówczas koronkowym dekolcie, z włosami upiętymi wysoko w kok, na zdjęciu szesnasto- /dwudziestolatka, w Ameryce może dopiero kilka miesięcy, a może myślami już wybiega w przyszłość - po 5 latach spędzonych za oceanem wreszcie zobaczy się z matką i rodzeństwem, niestety zostawi zrozpaczonego zakochanego w niej młodzieńca. Obieżyświaty, które podzieliły los licznych wówczas emigrantów z Galicji, jadących dla podratowania domowego budżetu w czasach „galicyjskiej biedy", a na zaproszenie krewnych, którzy już zdążyli zadomowić się w amerykańskim raju. Z czasem trafiały się kolejne fotograficzne zdobycze (popularne wówczas portrety-pocztówki) – zdjęcia sióstr Petroneli, brata, licznego kuzynostwa, „galicyjskie" rodzinne fotografie rodzeństwa Prapradziadka. Wszystkie noszą ślady minionych lat – naderwane, z zagięciami, wyblakłe. Dzisiaj to pokaźny zbiór – oglądany z największą przyjemnością i zadumą, że to już tyle lat, i z żalem, że wciąż jeszcze nie wszystkie odnalezione. Po sześciu latach intensywnych genealogicznych poszukiwań, rozmów z „odzyskanymi" krewnymi, udało się częściowo odtworzyć losy niektórych postaci uwiecznionych sto i mniej lat temu w delikatnej sepii.

W tym zbiorze szczególnie cenne są również fotografie dziadka Leona, który jako osiemnastoletni chłopak podczas I wojny światowej powołany został do wojska i służył na froncie wschodnim, we Włoszech. Młody chłopak w mundurze austriackiej armii, z nogami opleciony nymi onucami. Całe lata potem zasypiał, mając pod zamkniętymi powiekami widok zamarzniętych na kość współtowarzyszy opartych w kucki o drzewo z niedopalonym papierosem w ręce – służba w wojsku zbiegła się z zimami stulecia i krótka przerwa na papierosa poza okopami niejednego żołnierza kosztowała życie.

Przedmiotów o kresowym pochodzeniu jest niewiele. W rodzinie Babci wszystko przepadło, dlatego na znaczeniu zyskały przedmioty, które trafiły do rodziny po wojnie, a których rodowód nie do końca jest znany. Pamiątkowe stały się tzw. „trofiejne" babci Marii za udział w wojnie – drobiazgi w postaci różyczki z kości słoniowej, broszek, pierścionka z rubinem, złotego zegarka i złotej bransolety. I tylko tyle, bo resztę (głowę maszyny do szycia, walizkę z ubraniami) na jednej ze stacji kolejowych ukradli sowieci, którzy mieli zwyczaj okradania podróżujących. Młode dziewczyny, już bez matki (pochowanej na Syberii) i męskiej „obstawy", stanowiły łatwy obiekt. Po latach, już w Złotoryi, ten skromny zbiór dodatkowo uszczuplił się o złote precjoza, które stały się łupem młodego sąsiada Mariana. Pochodzenie tych rzeczy jest nam nieznane (być może stanowiły skonfiskowane mienie pokonanych), ale to właśnie te pozostałości „trofiejne" dzisiaj nierozerwalnie wiążą się z osobą Babci Marii. Ocalało także kilka listów Pradziadka pisanych zza „wielkiej wody" do rodziny na Pokuciu - datowanych na rok 1912, z opisem niedoli robotników zatrudnionych w fabrykach oraz początków kryzysu światowego, który najbardziej miał się dać we znaki w latach 30., kiedy tułacze wrócili do ojczyzny i za amerykańskie pieniądze budowali swoje nowe życie w Podhajcach. Dorobek życia, który 10 lutego 1940 r. zawłaszczyli obcy.

Rodowód kresowy ma kilka przedmiotów „po-dziadkowych". Należą do nich narzędzia z przydomowego warsztatu (niezbędne i cenne w oczach absolwenta przedwojennej szkoły przemysłowej), złote spinki z masą perłową (przechodni element stroju ślubnego mężczyzn w rodzinie), brzytwa w komplecie z lusterkiem. Ostatnie szczególnie cenne, bo z tym „męskim" sprzętem dziadek przeżył „trzy wojny, w tym dwie światowe".

Dziadek, I wojna światowa

Szuflada z pamiątkami wypełniona jest dokumentami dziadka – zawiadomieniami szkolnymi (świadectwami), dyplomami (w tym dokumentem poświadczającym ukończenie kursu dla pisarzy gminnych we Lwowie), a także życiorysami i prośbami, jakie zmuszony był pisać do przedstawicieli władzy ludowej. Wszystkie pisane piękną kaligrafią opanowaną do perfekcji jeszcze w czasach gimnazjalnych – w lekkim pochyleniu, z idealnie wymierzonymi zawijasami i dekoracyjnymi literami rozpoczynającymi akapit. I jeszcze inne skarby – listy kierowane do rodziny, identycznie kaligrafowane, ale pisane ręką brata Dziadka – Władysława.

Od lat ozdobą domu jest zegar ścienny, który Dziadek szczególnie sobie upodobał. Miał czuły stosunek do zegarów, z pasją celebrował chwile poświęcane na czyszczenie, nakręcanie, konserwację, wymianę elementów. A nam wydawało się, że musiała wytworzyć się trudna do wyjaśnienia i zrozumienia więź między użytkownikiem a przedmiotami, bo gdy Dziadek zmarł, w jednej chwili przestały tykać trzy zegary – ścienny, budzik i ręczny. Wszystkie, razem z Jego sercem, przestały bić o jednej godzinie.

Zegary i praca twórcza w przydomowym warsztacie nie były jedynymi pasjami Dziadka. Kolejną była gra na kilku instrumentach, w tym na skrzypcach. Ten, obecny w naszej rodzinie od co najmniej 65 lat, instrument przypomina o deperacji, z jaką starszy już pan rzucił się w pościg za Cyganami, którzy wykorzystali chwilę nieuwagi i z podwórka uprowadzili maleńką córkę. Na koniu dogonił kidnaperów, odebrał dziecko, a na przeprosiny przyjął właśnie te skrzypce.

Z racji wieloletniej obecności w naszym domu, status pamiątek zyskało kilka przedmiotów, w posiadanie których Dziadkowie weszli już po wojnie osiedlając się w Naratowie, dopiero później w Złotoryi. To „poniemiecki" obraz – reprodukcja Madonny Rafaela, zegar i drewniany krucyfiks, talerze z kwiatowym dekorem, porcelanowe mleczniki. Kilka poniemieckich darów (zestaw kawowy, Chrystus Pantokrator na blaszce z dekoracyjnym wieńcem laurowym), sprezentowanych przez rodzinę z Pomorza, zasiliło zbiór pamiątek o sentymentalnym znaczeniu. Na wszystkich odcisnął się upływ czasu – noszą ślady przeprowadzek, dotknęły je przebarwienia, zdekompletowały się. Stały się delikatne i kruche.

Pamięć o ludziach, których już nie ma, polega na wspominaniu wydarzeń, jakich byli uczestnikami, podkreślaniu efektów ich pracy, cech charakteru i osobowości, ale przede wszystkim na pielęgnowaniu grobów. Niestety, odebranie ojcowizny poza tym, że pozbawiło rodziny domu i zebranego w nim dobytku, przerwało wielopokoleniowy obowiązek wizytowania Zmarłych w miejscu ich pochówku. Historia rodzinna została w kresowych domach, ale została także na rożnowskim i podhajeckim cmentarzu i na dalekiej Syberii. Żyjącym pozostało zapalanie światełek w miejscach „zbiorowej pamięci". Zmarli osamotnieni, na łasce obcego narodu, który nawet nie stwarzał pozorów, że kiedykolwiek i cokolwiek zechce zrobić dla upamiętnienia ludzi pochowanych w tej ziemi. Wyprawa na tamte tereny z zamiarem zobaczenia domu i odnalezienia grobów dała połowiczne rezultaty. Dom udało się rozpoznać, a nawet obejrzeć jego wnętrze, nie powiodła się natomiast próba odnalezienia grobu Pradziadków. Mogiły, a właściwie cały stary cmentarz, znajdowały się w szczelnych objęciach przyrody; w gęstych zaroślach, wysokich trawach, rozkrzewionych dzikich różach, ostach i łopianach - trudno było zidentyfikować tę właściwą. Dziesiątki skorodowanych żeliwnych krzyży - pozbawione tablic, sterczą dumnie przy mogiłach skazanych na wieczne zapomnienie. Jedyna pociecha, że to ostatnie „miejsce ziemskiej obecności" wciąż istnieje w ciszy i bujnej zieleni. I tylko czasami, zza ociężałej od kwiecia dzikiej róży, dostrzec można kikuty krzyży przytulone do najbliższej figury nagrobnej, jakby na nas czekały.

Joanna Sosa-Misiak

Turkusowy klejnot znad stawu osadowego

Cieszę się. Naprawdę bardzo się cieszę, że nasz Staw osadowy ma się dobrze. I żaden to sarkazm z mojej strony. To fakt. I kto by pomyślał? Jeszcze czterdzieści lat temu, kiedy zamykano pobliską „Lenę" był przecież tylko kłopotliwym eko-spadkiem po Starym Zagłębiu Miedziowym, a w rzeczywistości kilkusethektarowym bajorem, wypełnionym toksycznym poflotacyjnym szlamem. Dzisiaj, skutkiem prowadzonej dziesiątki lat (raz lepiej raz gorzej, ale jednak dość konsekwentnie) rekultywacji, staw jest interesującym biotopem, ostoją pokaźnej ilości gatunków fauny i flory, a przy okazji też popularnym miejscem rekreacji. Sam zbiornik wodny, który przez lata znacznie się oczyścił i biologicznie ustabilizował, a przy okazji też skurczył do powierzchni niespełna 40 hektarów, jest dzisiaj najpopularniejszym podzłotoryjskim łowiskiem, którym opiekuje się lokalny PZW. Mój szwagier – najlepszy wędkarz jakiego znam – twierdzi, że można tam złowić wcale często metrowego szczupaka albo i kilkunastokilogramowego karpia. – Całkiem nieźle - myślę sobie. Wprawdzie od wielu lat słowa takie jak: „łowić", „łowisko", „łowy", „łowczy" znoszę zdecydowanie źle, kombinuję jednak, że lepiej przecież, że ktoś zaopiekował się tą wodą i próbuje wprowadzić w jej otoczeniu zalążki jakiegoś porządku, niźli ma być ona dzikim zaśmieconym łowiskiem, jak przez całe dekady wcześniej. A teraz proszę: na południowo-zachodniej stronie powstały „główki", z których można wygodniej wędkować, wokół wody kosze na śmiecie, tu i tam tablice informujące o tym, co wolno, a czego nie. Nie da się ukryć – jest gospodarz. Pozostała część byłego zbiornika osadowego to dzisiaj w większości mniej lub bardziej dorodny las. Tworzą go głównie olchy, brzozy, osiki, robinie i jawory. Na jego obrzeżach pełno krzewów dwupiennego rokitnika i kilku gatunków wierzb. Przy wodzie zaś trzcinowiska, pałki wodne i sity. Skromnie ale bujnie, a dla zwierzyny (zwłaszcza dzikiego ptactwa) w sam raz. Wystarczy tylko wybrać się tam w majowy poranek, by się o tym na własne uszy i oczy przekonać. Ogólne poruszenie i jeden wrzask, bo wszelka mieszkająca tam gadzina drze się w niebogłosy. Na wodzie pełno żerujących perkozów, łabędzi, krzyżówek i łysek. W trzcinach skrzeczące trzciniaki, obok w lesie pięknie wtórujące im drozdy. Na ruderalnych „plażach" wschodniego brzegu śmigają sieweczki. A wszędzie po krzakach niezliczona drobna ptasia hałastra. Wielka radosna kakofonia. I nic w tym dziwnego - w perspektywie przecież wielomiesięczny czas rozrodu i obfitości.

Nie tylko wiosną Staw osadowy potrafi zadziwić. Latem uwodzi dorodnymi czerwonymi koźlarzami, których pełno między osikami, jesienią czaruje pomarańczowymi łanami cierpkich jagód rokitnika. A zimą? Zimą skuty zwykle grubym lodem zbiornik odsłania niedostępne innymi porami roku trzcinowiska i wysepki. Mnie jednak, pewnego ponurego lutowego przedpołudnia, kiedy to włóczyłem się tam tysiąc dwudziesty drugi raz w życiu, przydarzyło się coś zupełnie wyjątkowego. Wtedy to właśnie, idąc w rzadkiej mgle, nagle, przy stromej, prawie pionowej skarpie największego na stawie rowu odwadniającego, ujrzałem czatującego na brzozowej gałązce zimorodka zwyczajnego *(Alcedo atthis)*. I proszę wierzyć, prędzej bym się wówczas, w tej dość ponurej scenerii, spodziewał spotkać moją lektorkę języka niemieckiego z czasów studenckich, która w nawracających co jakiś czas sennych traumach, każe mi zaliczać kolejne ćwiczenia, niźli tego rzadkiego ptaka. Nie mam - ma się rozumieć - wątpliwości, że ogromna większość czytelników doskonale wie, jak on wygląda, jeśli jednak okazałoby się, że co dziesiąta z tychże osób widziała go na własne oczy w naturze – uznałbym to za wynik naprawdę zadziwiająco dobry. Mnie w całym moim życiu udało się to trzykrotnie. Pierwszy raz w latach siedemdziesiątych kiedy to szybował nad Kaczawą na wysokości złotoryjskiego stadionu. Drugi – osiem lat temu w Lubinie, gdy to natknąłem się na martwego osobnika pod szybą biurowca, o którą niechybnie rozbił się podczas przelotu. Trzeci i ostatni raz - zeszłej zimy właśnie tam - na Stawie osadowym. W każdym z tych przypadków wrażenie było tak olbrzymie, że odnieść by je można tylko do stanu ducha towarzyszącego spotkaniu z istotą pozaziemską (tak sobie to przynajmniej wyobrażam). Dlaczego? Wystarczy tylko na zimorodka spojrzeć. Naturę w jego przypadku najzwyczajniej poniosło. Wspięła się na wierzchołki estetycznej finezji, zestawiając metalizujący turkusowozielony kolor skrzydeł z cynamonowym spodem ciała. Połączenie szokująco odważne, a przy tym niemal doskonałe. To w istocie nie ptak, tylko turkusowy klejnot, którego urodę nie sposób w pełni wyrazić słowami. Dlatego zamiast kontynuować tekst i zanudzać kolejnymi szczegółami z życia zimorodków, wstawiam w tym miejscu najpiękniejsze zdjęcie zimorodka zwyczajnego, jakie udało mi się znaleźć, by można mu się było przyjrzeć, zadumać i zachwycić, bo stan to na koniec nieuchronny. A kiedy już się więc Szanowny Czytelniku zachwycisz, wyobraź sobie, że to tak rzadkie i bardzo wymagające środowiskowo, cudo natury, postanowiło osiąść tuż koło nas I to gdzie? - na Stawie osadowym, pamiątce po industrialnej degradacji środowiska. I kto by pomyślał?

Marek Sarna

Dwie siostry „M”

Monika i Milena Gordziejewskie, uczennice naszej szkoły, przeszły do kolejnego etapu popularnego programu muzycznego „ X Factor”. Dziewczyny swoim występem przekonały do siebie widzów, publiczność i przede wszystkim jurorów. „Jesteście ciekawym produktem popkultury i to jeszcze w dwupaku, ja to biorę!” Tak skomentował występ Kuba Wojewódzki, natomiast Czesław Mozil, którego dziewczyny doprowadziły do łez wzruszenia, skomentował to tak: „ Przysięgam, że nikt w tym programie nie miał tak dobrego flow jak Wy macie.” Nie było innego rozwiązania, dziewczyny musiały usłyszeć 3 razy tak! I tak też się stało. W związku z tym bliźniaczki Monika i Milena Gordziejewskie mają szansę wygrać „ X Factor 3”!

No więc opowiadajcie, jak było w „X Factor”. Stanąć przed takim jury i tak szeroką widownią to nie lada wyzwanie.

„X Factor” to najlepsza przygoda naszego życia. Mimo nieprzespanych nocy, zmęczenia i baaaardzo długiego oczekiwania, było naprawdę wspaniale. Program daje bardzo dużo możliwości, my chciałyśmy pokazać innym swoją pasję, ale z drugiej strony - zależało nam także na poznaniu opinii genialnych ludzi. Jurorzy dali nam bardzo dużo pewności siebie. Nie można nie wspomnieć o Patrici Kazadi, która jest bardzo kochana i wspierała nas przez cały czas trwania nagrań. Atmosfera w programie jest świetna, ludzie, jakich poznałyśmy, są wspaniali i z wieloma z nich utrzymujemy kontakt. Jesteśmy już po emisji naszego występu w TVNie, następnym etapem jest bootcamp, co dla nas wiązało się z pierwszym w życiu wyjazdem do Warszawy. Tam panowały jeszcze większe emocje, ale nie możemy nic zdradzić. Zapraszamy do oglądania.

Od jak dawna śpiewacie?

Śpiewamy, odkąd sięgamy pamięcią. Występowałyśmy już w przedszkolu, potem były sporadyczne występy na apelach w szkole podstawowej. Brałyśmy także udział w przeglądach młodych talentów, gdzie zawsze wygrywałyśmy nagrody.

Czym jest dla was muzyka, co wnosi do Waszego życia?

Muzyka przede wszystkim jest dla nas odskocznią od codzienności i rzeczywistości. Słuchając muzyki zamykamy się w swoim własnym świecie, gdzie jesteśmy tylko same dla siebie. Muzyka jest także dla nas najlepszym sposobem na wyrażanie uczuć i okazywanie emocji.

Jest ktoś kto jest dla was inspiracją, ktoś na kim się wzorujecie?

Jako ośmioletnie dziewczynki kochałyśmy chłopaków z Tokio Hotel, jednak to szybko minęło i naszą idolką stała się Doda. Na szczęście, fascynacja jej osobą także poszła w kąt, gdy obejrzałyśmy film High School Musical. Mając jedenaście lat, chciałyśmy żyć jak bohaterowie tego musicalu, jednak rok potem straciłyśmy chęć naśladowania kogoś. Od tamtego momentu nie ma nikogo, na kim się wzorujemy. Jest oczywiście wielu artystów, którymi się inspirujemy, jednak nie chcemy być czyjąś kopią, poza tym wciąż odnajdujemy siebie i staramy się być po prostu sobą.

Kto was wspiera w realizowaniu swoich marzeń?

W realizowaniu marzeń przede wszystkim wspieramy siebie nawzajem, ale duże wsparcie daje nam rodzina. Rodzice nigdy nam niczego nie odmawiają i starają się dać nam to, co nam daje szczęście.

Planujecie w przyszłości zajmować się muzyką?

Jeszcze nie tak dawno uważałyśmy, że śpiew to tylko hobby, jednak doszłyśmy do wniosku, że ludziom podoba się to, co robimy. Zastanawiamy się nad tym, czy nie zacząć czegoś na poważnie z muzyką. W tym momencie staramy się pokazać szerszej publiczności, aby rozpocząć budowanie naszego muzycznego wizerunku.

A co z waszymi osiągnięciami?

Naszym największym osiągnięciem jest udział w programie „X Factor”. Rok temu, po raz drugi, zajęłyśmy I miejsce w Powiatowym Konkursie Piosenki Obcojęzycznej. Poza tym, wiele razy wyróżniano nas na konkursach i przeglądach tego typu.

Pierwszy występ dla publiczności? Jak wspominacie?

Pomijając wszystkie szkolne występy, po raz pierwszy dla publiczności zaśpiewałyśmy na otwarciu Centrum Kultury w Świerzawie. Wtedy nie zdawałyśmy sobie sprawy z tego, jak bardzo rozwiną się sprawy związane ze śpiewaniem, ale było bardzo miło i cieszyłyśmy się, że ludzie odebrali nasz występ pozytywnie.

Czy takie występy są stresujące?

Teraz już nie, chociaż zdarza się w przypadku wielkich występów. Wiadomo, że kiedy to „jak zaśpiewasz” decyduje o twojej przyszłości, to strach i stres zżerają , ale na scenie staramy się być wyluzowane i uśmiechnięte.

Uczęszczacie na jakieś lekcje śpiewu?

Tak. We wtorki siedzimy do późna w szkole i rozwijamy się w Teatrze „Mimo Wszystko”, a w każdą środę uczymy się śpiewu na sekcji muzycznej w Centrum Kultury w Świerzawie.

Piszecie własne utwory?

Jeszcze nie, ale mamy nadzieję, że kiedyś będziemy.

A co ze szkołą, czy wasza pasja jaką jest muzyka nie przeszkadza w nauce?

Czasami. Przede wszystkim nasza pasja związana jest z wieloma wyjazdami (na występy, konkursy itp.), a uczyć się trzeba. Często jest tak, że pomiędzy występem czy na lekcjach śpiewu (w przerwie, w drodze) uczymy się do testów, odrabiamy zadania domowe, ponieważ nauczyciele nie odpuszczają.

Największa wtopa muzyczna?

Było ich bardzo dużo. Często śpiewałyśmy do wyciszonych mikrofonów, podkłady się zacinały, akompaniator mylił się przy graniu muzyki. Tak już jest, kiedy akustyka szwankuje. Największa wtopa była chyba na ostatnim występie, kiedy Milenę zatkało w trakcie śpiewania i obie szyłyśmy tekst jak się tylko da, żeby nie przerywać piosenki.

Która lepiej śpiewa :)?

Naszym zdaniem żadna nie śpiewa dobrze, jeśli nie śpiewamy razem. Czasem występują spory ze strony Moniki, że śpiewa lepiej, jednak nie wyobrażamy sobie tego, że mogłybyśmy się rozdzielić. Jedna dla drugiej jest uzupełnieniem, pomagamy sobie nawzajem, jest raźniej. Milena bez Moniki strasznie jęczy, a Monika bez Mileny wyje do księżyca.

Udzielałyście już kiedyś wywiadu?

Nie. To jest nasz pierwszy, dlatego czujemy się zaszczycone.

To ja powinnam być zaszczycona, że zgodziłyście się na ten wywiad. Dziękuję.

Również dziękujemy.

Rozmawiała Malwina Grzeszykowska

Już od 1 września 2013r. rozpoczyna działalność Gimnazjum Dwujęzyczne w Złotoryi. Zapraszamy absolwentów klas szóstych z terenu całego powiatu złotoryjskiego, by wraz z rodzicami rozważyli naszą ofertę rekrutacyjną.

Nauczanie dwujęzyczne polega na rozszerzonym nauczaniu obcego języka nowożytnego oraz dwóch przedmiotów częściowo w tym samym języku. W latach 1997-2006 nauczanie dwujęzyczne z językiem niemieckim było realizowane w Liceum Ogólnokształcącym. Byliśmy 15. szkołą w kraju, która rozpoczęła nauczanie dwujęzyczne w języku niemieckim. Tak duży nacisk na naukę języka obcego umożliwiał zdawanie przez uczniów międzynarodowego egzaminu językowego. Absolwenci otrzymywali certyfikat DSDII (Deutsche Schprach Diplom Stufe II), umożliwiający podejmowanie studiów na niemieckojęzycznych uczelniach. Polscy nauczyciele germaniści wspierani byli przez nauczycieli z Niemiec przez organizację ZfA BVA z Kolonii. Uczniowie klas dwujęzycznych reprezentowali bardzo wysoki poziom i stuprocentową zdawalność zarówno na egzaminie maturalnym jak na egzaminie językowym.

Jednak z powodu ograniczenia nauki w szkole ponadgimnazjalnej do trzech lat, a nawet krócej, bo międzynarodowe egzaminy rozpoczynają się już w grudniu, spowodowało, że szkoła musiała zrezygnować z tej bardzo cennej oferty dydaktycznej. Szansą na reaktywację jest rozpoczęcie nauczania dwujęzycznego od klasy pierwszej gimnazjum, dlatego nauczyciele Liceum zgłosili propozycję otwarcia Gimnazjum Dwujęzycznego. Proces nauczania zarówno rozszerzonego programu z języka obcego i nauczania dwóch przedmiotów w języku obcym kontynuowany byłby także w Liceum.

Absolwent klas dwujęzycznych w Gimnazjum i w Liceum, ukończyłby kształcenie językowe na poziomie C1 (międzynarodowa skala poziomu znajomości języka: A1,A2,B1,B2, C1, C2). Gwarancją powodzenia projektu jest duże doświadczenie, które szkoła posiada. Uczniowie z sukcesami, zdobywając międzynarodowe nagrody, uczestniczą w międzynarodowych mediaprojektach. Szkoła prowadzi regularne wymiany z trzema niemieckimi szkołami, co zapewnia kontakt uczniów z żywym językiem. Ma doskonale wyposażone pracownie językowe i wyspecjalizowaną kadrę. Posiada status centrum egzaminacyjnego DSDII. W uznaniu osiągnięć w tej dziedzinie otrzymała tytuł Szkoły Partnerskiej Republiki Federalnej Niemiec.

Rekrutację do gimnazjum poprzedza test predyspozycji językowych. Nie jest to test językowy (naukę języka obcego wszyscy uczniowie rozpoczynają o początku). Test sprawdza predyspozycje do uczenia się języków obcych na rozszerzonym poziomie, w zwiększonym wymiarze godzin.

Liczymy na to, że znajdą się chętni, by podjąć się tego trudnego, ale bardzo obiecującego wyzwania. Informujemy również, że po ukończeniu Gimnazjum dwujęzycznego w Liceum można zmienić klasę na inny profil nauczania.

Kwalifikacje kadry pedagogicznej umożliwiają również wprowadzenie nauczania w języku angielskim. Dyrekcja szkoły nie wyklucza takiego profilu w nowo otwieranej placówce.

Szczegółowe informacje na temat rekrutacji znajdują się na stronie internetowej: Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II w Złotoryi w zakładce: Gimnazjum.

Zaproszenie

Serdecznie zapraszamy na tradycyjne spotkania w dniach 2 kwietnia oraz 1 maja o godzinie 21.37 przy drzewku imienia Jana Pawła II na Ścieżce św. Jadwigi, czyli między Kopaczem a Rokitnicą. Spotkaniu towarzyszą zawsze refleksje o owocach Jego pontyfikatu.

Znaszli to miejsce?

Tym razem zagadka okazała się trudniejsza. Pierwsza odpowiedź, która przyszła, była błędna. Nie, to nie ruiny wiatraka w Skorzenicach. Chociaż budowla nieco podobna, do stojących pozostałości na skorzynickim polu, to jednak Skorzynice to jakby już nie nasz powiat. Kiedyś mieliśmy wiatrak w Złotoryi, ale roztrzaskali go nasi „sojusznicy” „wyzwalając” Goldberg i śladu po nim nie ma. Gdy już myślałem, że nikt nie odgadnie, odpowiedź nadesłała niezawodna pani Katarzyna Pronkiewicz:

„Zdjęcie przedstawia w zasadzie już tylko ruiny wiatraka „holendra” w Radziechowie.
Po wojnie przez bardzo długi okres stał, że tak powiem, kompletny. Niestety, najprawdopodobniej w latach 80. (co do tego moje źródła-ciocia nie są pewne) właściciel ziemi, na której wiatrak się znajduje, rozebrał skrzydła, pozostawiając to, co widać na zdjęciu”.

To już trzecia trafna odpowiedź pani Katarzyny. Serdecznie gratuluję i zapraszam po odbiór nagrody. Na szczęście przybyło coś w moim prywatnym archiwum złotoryjskich drobiazgów, którymi chętnie obdaruję zwyciężczynię.

A dzisiaj nowy obiekt do rozgryzienia. Budowla znajduje się na uboczu. Kiedyś musiał tu być piękny park. Można dojrzeć jeszcze pozostałości alej, a drzewa rosną w sposób raczej uporządkowany. W tymże parku widać ok. dwustumetrowy mur, a z ziemi wystają resztki fundamentów. Mur jest dziwny. Są w nim okrągłe otwory, z niektórych wystają pozostałości belek.

Co to jest? A właściwie – co to było? Gdzie to jest? Na autorów prawidłowych odpowiedzi czekają nagrody.

Robert Pawłowski

Tylko moja

W latach trzydziestych w Rosulnej (stanisławowskie) urodziła się ***Olga Zubik,*** *a w Julianowej (wileńskie) dwa lata później, przyszedł na świat* ***Rajmund Żejc.*** *Dzieci dorastały w swoich dobrze sytuowanych rodzinach. Szczęśliwe dzieciństwo widać dało im tyle siły, zdrowia i wiary w siebie, że kiedy młodzieńcze lata (1951-1956) wypadło im spędzić na zesłaniu - wytrzymali i szczęśliwie przyjechali do krewnych w Złotoryi w 1956 roku.*

Rodzina Zubików spodziewała się wywózki, ale czekała na cud. Jedna z córek – Olga podjęła desperacką decyzję i z dwoma kolegami (lekarzem i nauczycielem) uciekła do Rygi. Jeden z kolegów został okradziony, z tego powodu przenieśli się na Litwę. Kolega lekarz oświadczył się, ale Olga „podała mu czarną polewkę”. Kiedy trafiła do szkoły w Kajatach, podlegała młodziutkiemu przystojniakowi – świeżo upieczonemu kierownikowi **Rajmundowi Żejcowi.**

Pani Olga nie pamięta już, czy była to szkoła siedmio- czy ośmioklasowa. Pamięta, że to uczniowie z najstarszej klasy prosili ją o zorganizowanie zabawy. Wiedziała już, że pan kierownik wodzi za nią czułym wzrokiem i licząc na przychylność ochoczo zwróciła się do szefa po zgodę. Nie przeliczyła się. Widać rozeszły się wici o zabawie, bo oprócz młodzieży przybyli żołnierze, których tam nazywano „stripkami”. *Ja jestem wesołego usposobienia* – mówi pani Olga - *sama też cieszyłam się atmosferą. Ruszyłam w tany, wykonałam popisowego kozaka, żołnierze ośmieleni zaczęli mnie poklepywać i wtedy do akcji wkroczył pan kierownik. Powiedział, że ma do mnie sprawę i udaliśmy się do izby lekcyjnej, gdzie bez słowa zostałam zamknięta na klucz. Dopiero później wyjaśnił i przeprosił* (śmiech).

Jeden z moich kolegów - Roman, prowadził korespondencję ze swoją rodziną w Rosulnej i posługiwał się moim adresem. Zostaliśmy aresztowani. Dzięki znajomości języka niemieckiego mogliśmy swobodnie ustalać zeznania. Pewnego dnia na rowerze przyjechał pan kierownik, przedstawił trudną sytuację w szkole z powodu braku nauczycielki, zapewnił, że w każdej chwili stawi się na wezwanie i uzyskał zwolnienie dziewczyny. Wybawca powiózł wybrankę w świat na ramie roweru, pokonując kolejno trasę: do Rymszy - 8 km, do Dukszty - 15 km, do Sołdu, a następnie Zarasaja – 20 km. Po tych 43 km przez wyboje drogi leśnej, które udało się pokonać bez niespodzianek, dotarli do domu Rajmunda. Wkrótce pod osłoną nocy, tylko w obecności świadków ksiądz z wiejskiego kościoła udzielił im ślubu. Nie otrzymali żadnego dokumentu, którego braku nie odczuli nigdy w życiu.

Zsyłka

Kiedy wiadomym się stało, że zostali umieszczeni na liście zesłańców, nauczyciele z ich szkoły w Widzy zebrali ładną sumkę i ofiarowali im niczym wiano. Pani Olga była w ósmym miesiącu ciąży, kiedy wspinała się do wagonu bydlęcego, do którego przydzielono jeszcze cztery inne rodziny. Cóż, fatalne warunki, brak wody, zimno, wspólna dziura w podłodze zamiast toalety, brud i choroby – to wszystko było już tak opisywane we wspomnieniach różnych osób, że pan Rajmund nie widzi potrzeby powielania tego kolejny raz. Określa tę sytuację jednym dobitnym słowem – koszmar! *Wreszcie dotarliśmy na miejsce – GRYSZKINO! Była to osada, w której mieszkali Rosjanie, byli już zagospodarowani, posiadali zwierzęta hodowlane i pracowali odpłatnie w lesie i w tartaku głównie. Zesłańców lokowano w barakach po kilka rodzin, a każdej z nich przysługiwała jedna prycza. Komendant był ludzki. Zwierzył się, że jest zesłańcem z Łotwy, myślałem, że chce zrobić ze mnie informatora, ale myliłem się* - wspomina gospodarz.

Po miesiącu urodziła się córeczka **Janina**. Pana Rajmunda przydzielono do pracy w lesie**.** *Kiedy uruchomiono tartak* - wspomina *- przydzielono mi obsługę maszyny wyciągowej, podobnej do kopalnianej, która ma dwie liny na bębnach - z jednego rozwija się, a na drugi nawija przeciągając ciężary. Odpowiednie haki znajdowały się nad rzeką. Tam ludzie stali na tratwie, wyciągali bale drewna, łączyli w pęczki, a my na brzegu je sztablowaliśmy. Sztable miały długość około pięćdziesięciu metrów, a wysokość od ośmiu do dziesięciu metrów. Tak tworzyliśmy zapas drewna dla tartaku na zimę. O mojej wyciągarce mówiło się „lebiodka”* - dodaje pan Rajmund.

Budowa domu

W tym czasie, korzystając z dobrej rady Rosjanina, pan Rajmund rozpoczął gromadzenie bali na budowę chaty. Bale o podobnej średnicy dobierało się starannie. Należało się spieszyć, bo tylko wiosną i latem można było takie roboty wykonać. Mijały kolejne miesiące, tylko od czasu do czasu pan Rajmund wspomagał drwali w lesie. Po pracy budował dom. Nie wychodził z zadziwienia, że inni - zwłaszcza ci najbardziej narzekający na los - nie podejmowali się budowania swojego kąta, za to przysiadywali na pieńku i smęcili na bałabajce. Wtedy było bardzo zimno i wszyscy cierpieli z niedojedzenia. A latem nękały ich nienasycone meszki. Pan Rajmund patrząc na swoją rodzinę czuł się szczęśliwy i jedynym jego pragnieniem było poprawić los swoich kochanych dziewczyn. Olę kochał gorąco i pragnął jej ulżyć, a maleńką Janinkę najchętniej zabierałby wszędzie ze sobą, by się z nią nie rozstawać. Stanął dom. Bardzo wiele w budowie pomógł syn **Andrieja Gurianowicza Kuzniecowa** – zesłańca sprzed trzydziestu lat. Gotowa chata prezentowała się solidnie i okazale, miała 5,5 na 6,5 m po zewnętrznej. Chatę wieńczył spadzisty dach, pod którym budowniczy zorganizował całkiem wygodny stryszek. Ściany wewnętrzne poprzetykano patyczkami, na których zaczepiono glinianą masę, wyrobioną stopami pani Olgi. Gdyby nie surowość klimatu i okoliczności znalezienia się tam, można by snuć opowieść o domku małym, ciasnym ale własnym. Te wszystkie prace i zabiegi, troska o partnera, o dziecko, wreszcie o mienie, były niczym codzienna mowa miłosna. Ola i Raj (tak się do siebie zwracają) czuli jak rozpiera ich uczucie, które uskrzydlało, dodawało sił, pewności siebie, wiary w innych ludzi i nadzieję na odmianę losu.

Gospodarstwo państwa Żejców rozwijało się. W ogródku wyrastały warzywa, najpiękniej udawały się pomidory, którymi obdarowywali chętnych. Najtrudniej było z ogórkami: najpierw usypywało się pryzmy z nawozu, potem robiło dołki i wypełniało je ziemią - dopiero wtedy wkładało nasionka. Ziemia w nawozie miała wyższą temperaturę. *Pani Czarniawska przynosiła nam jabłka* – przypomina pani Olga. Niektóre produkty udawało się sprzedać, a za zdobyte pieniądze można było kupić potrzebne rzeczy. Pan Rajmund wybudował stajnię, w której ulokowano krowę, z czasem osiem owiec i kury. A w domu przybywało mebli własnej roboty. Pan Rajmund połknął bakcyla „złotej rączki” i tworzył nowe produkty. Wykonał bardzo solidną łódkę z desek, na której sam, później z teściem, wypływał na połów ryb. *Pewnego razu przepadły nam owce* - żalą się moi gospodarze. *Mąż poszedł szukać - wzdycha pani Olga. Po drodze dowiedział się, że Tatarzy pędzili swoje stado, więc poszedł za nimi. Po czterdziestu kilometrach spotkał ich, porozmawiali, poczęstowali posiłkiem i przewieźli łódką na drugi brzeg rzeki. Niestety, owiec nie było.* Pan Rajmund wracał do domu wyczerpany, mimo to pokonał te czterdzieści kilometrów drogi powrotnej. Bardzo bolał nad stratą stadka, a już się przymierzał do strzyżenia i zbioru runa. W domu okazało się, że owce wróciły. Dobrze, że w pracy zrozumiano życzliwie sytuację i nie potraktowano nieobecności sabotażowo.

Gryszkino

Gryszkino

Gryszkino, wesele

Ropa naftowa nowa szansą

W 1955 r. niedaleko naszej chaty powstał szyb naftowy, ale zanim do tego doszło, poznaliśmy inż. ***Czarniawskiego****, który przyczynił się do zatrudnienia męża w przedsiębiorstwie poszukującym ropy naftowej. To był bardzo miły człowiek i bardzo ludziom życzliwy.* Zabawne, że inż. powoływał się na polskie korzenie, bo pamiętał, że jego dziadek nie mówił „szuba”, tylko „kożuch”. Szybko pojawiły się lepsze pieniądze za pracę, choć to i tak było tylko sześćdziesiąt procent wynagrodzenia „wolnonajemnego”. Przedsiębiorstwo funkcjonowało na terenie iłowo-glinianym. Nie można było urządzeń wkopać. Fundament tworzyła metalowa konstrukcja - spawana z dwuteowników wysokości do jednego metra. Na tym stelażu montowano silniki czołgowe, których rury wydechowe nie posiadały tłumików. Sprzęt do wierceń woziło się rzeką, którą dopływało się do końca tajgi, a początku tundry. Przedsiębiorstwo dysponowało samolotami, które wykonywały częste loty do Tomska i z powrotem. Klimat był surowy, paraliżowało zimno, a dokoła hulał mroźny wiatr. W tych warunkach była to bardzo ciężka praca: panował przepotężny huk, doskwierało zimno i brak żywności. Bywało, że nie dojeżdżali zmiennicy, praca była w tzw. ruchu ciągłym i nie można było opuścić stanowiska. *Przemęczenie i brak snu wprowadzały człowieka w jakiś dziwny niekontrolowany stan. Kiedy wreszcie wracałem do domu, chciałem tylko spać* - mówi pan Rajmund. Małżonka dodaje: *Pewnego razu wrócił zmęczony i położył się spać. W nocy spostrzegłam światło na strychu, wchodzę, a tam siedzi mąż, obok pali się lampa naftowa, a on nie reaguje. Rano nie wiedział co to było, nie pamiętał.* Aż podczas pewnej inspekcji w przedsiębiorstwie kontroler powiedział do szefostwa: „Zabierzcie tego Chrystusa, bo on na chodząco śpi i doprowadzi do nieszczęścia” (Pan Rajmund wzdycha i mówi, iż tę chorobę przywiózł do Złotoryi i tylko dzięki **dr. Kowalowi**, a potem **doc. J. Peszce** odzyskał zdrowie i równowagę*)*.

W Złotoryi

W chacie państwa Żejców zagęściło się, bowiem sprowadzili rodziców z najmłodszą dziesięcioletnią córką **Irenką**, a potem przyjęli do siebie małżeństwo **Marię i Jana Sokolińskich** z Litwy. Zmiany polityczne natychmiast przenosiły się na życie zesłańców. Po śmierci Stalina odczuwało się odprężenie. Każdy myślał o powrocie do kraju. Skorzystaliśmy z pomocy Litwina, którego syn zawiózł dziesięcioletnią siostrę żony do Tomska, a tam nasi znajomi odprowadzili ją do pociągu. Praktycznie na Ukrainę dotarła sama. Państwo Żejcowie szykowali się do wyjazdu, znaleźli kupca na dom, sprzęty, zwierzęta. **Paweł Siemionowicz Sumakow** mówił, że dom świadomie przepłaca, bo wie, że z krwi i potu powstał, a on go sobie rozbierze i przewiezie gdzieś indziej. Pani Olga zapobiegliwie pakowała najpotrzebniejsze sprzęty, bo nie było przecież wiadomym, dokąd pojadą i co tam zastaną, no i zawsze po drodze mogły zdarzyć się jakieś komplikacje, aż strach pomyśleć o tym, że trzeba byłoby zaczynać wszystko od początku. Tylko czy starczyłoby sił i samozaparcia na przeżywanie kolejny raz takiego trudu - martwi się pani Ola. Państwo Żejcowie otrzymali zaproszenie od kuzynów mamy pani Olgi - **Marcinkiewiczów**, którzy mieszkali z córką Wandą w Złotoryi, przy ulicy 22 Lipca (obecnie 11 Listopada) pod numerem 25. Zamieszkali w budynku kilkurodzinnym z dwiema rodzinami - **Wojciechowskimi** i **Zubikami.**

W Złotoryi

Od stycznia 1957 r. pan Rajmund znalazł zatrudnienie na „Lenie”, na flotacji. Jego kierownikiem był pan **Dyduch**, który wyczuwał, że jego pracownik ma coś więcej do powiedzenie niż mycie maszyn, a dowiedziawszy się o pracy swojego podwładnego przy wieżach wiertniczych na Syberii, wykorzystywał każdą przerwę śniadaniową na rozmowę o tamtych czasach. Interesował go każdy szczegół techniczny. *Wówczas więcej szczegółów pamiętałem i opisywałem dokładniej* - z uśmiechem dodaje pan Rajmund. Niestety, osłabiony organizm szybko łapał choroby. Pojawiły się objawy pylicy. Od roku 1960 mój rozmówca zatrudnił się w „Społem”, w sklepie motoryzacyjnym w Rynku, a potem przy ulicy Nowotki (obecnie Piłsudskiego). *Pewnego razu po części do „Ify” przyjechał ze Śląska mój krajan –* ***Chowan.*** *Pamiętam go z Syberii jako chłopa stalowego, niezniszczalnego. Pierwotnie wrócił na Litwę, ale szybko przeniósł się do Polski. Oprócz części w sklepie prowadziłem sprzedaż motocykli, tych lżejszych: WSK, Jawy, SHL. Dowiedziałem się* – mówi pan Rajmund – *że „Lena” sprowadza motocykle na nagrody dla pracowników. Uzgodniłem z dyrekcją, potem ze Zjednoczeniem i przydziały przechodziły przez „mój” sklep. To zwiększało obroty i były dla mnie korzystne. Lubię jak coś się dzieje. Kiedy powstawały pierwsze sklepy samoobsługowe, pojeździłem po placówkach, dopytałem o sprawy organizacyjne i zorganizowałam taki sklep przy ulicy Kościuszki w Złotoryi.* Uroczyste otwarcie nastąpiło na Dzień Matki 1976 roku. *Miałem wspaniałą załogę* - pan Rajmund wzdycha i snuje - *moje panie bardzo dobrze pracowały, ja też starałem się być dobrym szefem. W 1988 r. odszedłem na rentę, a jedna z pracownic na pożegnanie ułożyła rymowankę opisującą najważniejsze wydarzenia z naszego handlowego życia. Mieliśmy piękny bilans, ani grosza manka, za tym szły nagrody dla załogi. Ja przez dziesięć lat nie skorzystałem z urlopu.* Pani Olga po odchowaniu dzieci zasiliła grono pedagogiczne w SP1, skąd wyniosła wiele satysfakcji i przyjaźni do dnia dzisiejszego. Dyrektorkę szkoły - **Janinę Kubiak** wspomina z uznaniem i sympatią.

Doczekaliśmy z żoną emerytury , mamy czas na spotkania, spacery, czytanie, wyjazdy do dzieci i dla siebie – dużo wspominamy. Mamy co wspominać – dodaje pani Olga *– przeżyliśmy razem sześćdziesiąt trzy lata. Chcieliśmy żyć dla naszych dzieci i dla siebie, bo bardzo się przez te wszystkie lata kochaliśmy. Pomimo wielu trudności i nieszczęść wytrzymaliśmy przeciwności losu, bo mieliśmy siebie i swoją dojrzałą w syberyjskiej tajdze miłość.*

Tekst : Danuta Sosa
Zdjęcia: archiwum Państwa O. i R. Żejców

Śmieciowa rewolucja

Ostatnie dni lutego 2013 roku przyniosły koniec prac legislacyjnych Rady Miejskiej Złotoryi nad pakietem uchwał dotyczących segregacji śmieci. Aby zatem przybliżyć naszym czytelnikom związane z tym problemy, podjęliśmy inicjatywę rozmów z radnymi na ten temat.

W rozmowie uczestniczą: przewodniczący Rady Miejskiej Złotoryi Roman Gorzkowski, zastępca przewodniczącego Rady Miejskiej Tadeusz Oleksów oraz przewodnicząca Komisji Gospodarczej Ewa Miara. „Echo Złotoryi" reprezentuje Agnieszka Młyńczak.

Będziemy chcieli publikować cykl reportaży o śmieciowej rewolucji w „Echu Złotoryi". Jest już uchwalony przez Radę Miejską regulamin w sprawie utrzymania czystości i porządku na terenie miasta. Chciałabym, abyście jako radni opowiedzieli swoimi słowami, jak to się stało, że oto nagle będziemy musieli segregować śmieci?

Tadeusz Oleksów: Wynika to z ustawy rządowej o utrzymaniu czystości i porządku w gminach, która wejdzie w życie 1 lipca tego roku.

Ewa Miara: Każda gmina w związku z tym musi dopasować do tej ustawy swoje prawo miejscowe.

O czym traktuje regulamin miasta Złotoryja w sprawie utrzymania czystości i porządku?

Tadeusz Oleksów: Najogólniej mówi o tym, jakie śmieci będziemy segregować i na jakich zasadach będą one wywożone z miasta.

Czy wiadoma jest data, od kiedy będziemy musieli segregować nasze śmieci?

Tadeusz Oleksów: Już od 1 lipca tego roku.

Oznacza to, że miasto ma cztery miesiące na wyłonienie firmy, która będzie śmieci wywozić i na przygotowanie złotoryjan do tej rewolucji. Jak wyobrażacie sobie przygotowanie mieszkańców?

Ewa Miara: Między innymi poprzez takie artykuły w *Echu*, na pewno będą też informacje w *Gazecie Złotoryjskiej*.

No a jeśli ktoś nie dotrze do prasy? Czy będą inne formy publikacji nowych zasad?

Ewa Miara: Będą jeszcze składane deklaracje przez właścicieli nieruchomości co do wysokości opłat za gospodarowanie odpadami. W deklaracjach trzeba będzie też ująć informację, czy właściciel będzie segregował śmieci.

Te deklaracje przyjdą pocztą czy jak? Bo nikt nie wie teraz, w jaki sposób to będzie rozwiązane.

Ewa Miara: Myślę, że będzie kilka osób zatrudnionych, które będą roznosiły te deklaracje.

Roman Gorzkowski: Będzie to się odbywać w podobny sposób, jak powiadamianie o zmianie wysokości opłat za nieruchomości. Po prostu pracownicy Urzędu Miejskiego przyjdą do każdego właściciela, wręczą odpowiedni dokument i zażądają podpisu, że otrzymali deklarację. A może jest inne wyjście?

Nie będzie zebrań z mieszkańcami, aby ich wyedukować?

Roman Gorzkowski: Rada podjęła uchwałę, reszta należy do organu wykonawczego, czyli do aparatu burmistrza.

Ewa Miara: Deklaracje od mieszkańców mają wpłynąć do Urzędu do 30 kwietnia.

Roman Gorzkowski: Zgodnie z ustawą rządową całość opłat za segregację śmieci ponoszą wyłącznie mieszkańcy. Gminom nie wolno dopłacać do tego ani złotówki.

Chcę państwu przeczytać fragment reportażu o segregowaniu śmieci w Wiedniu w 2002 r. Otóż tam w szkołach pracują tzw. śmieciowi doradcy. A u nas? Pytam was, bo stanowicie prawo miejscowe.

Roman Gorzkowski: To są techniczne szczegóły, którymi zajmą się urzędnicy burmistrza.

Ciekawym rozwiązaniem będzie tzw. PSZOK, czyli punkt selektywnej zbiórki odpadów komunalnych. Będzie zlokalizowany przy ul. Krzywoustego i tam będzie można odwieźć na przykład gruz z remontu czy starą wersalkę. W regulaminie są określone dni i godziny, w jakich będą przyjmowane odpady.

Ewa Miara: Jak będziesz miała dużą ilość na przykład makulatury, to można będzie odwieźć ją do PSZOK-u. Przyjmowanie tych odpadów będzie się odbywać za darmo.

Do tej pory, gdy stawiało się starą wersalkę przy śmietniku, to w ciągu kilku godzin ona znikała, bądź została rozebrana na czynniki pierwsze. Nie sądzę, żeby ta sytuacja zmieniła się 1 lipca.

Roman Gorzkowski: Powiem więcej, mieszkaniec będzie musiał osobiście rozładować te rzeczy, które odwiezie do PSZOK-u. Pracownik tylko ma wskazać miejsce złożenia odpadów.

Jaka jest gwarancja, że te odpady wielkogabarytowe nie będą – jak do tej pory – porzucane w lasach i rowach przydrożnych?

Ewa Miara: Niestety takiej gwarancji nie ma.

Posegregowane śmieci w Wiedniu wywozi się za darmo, o czym pisze Jolanta Zarembina w „Magazynie Rzeczpospolitej" w 2002 r. U nas różnica w opłacie za posegregowane i nieposegregowane wynosi nieco ponad trzy złote!

Tadeusz Oleksów: Dla niektórych rodzin to znacząca kwota.

Miesięcznie???Trzy złote? I taka różnica ma – według radnych – zmobilizować złotoryjan do segregowania śmieci?

Tadeusz Oleksów: Ustawa rządowa też nie jest do końca uregulowana.

Roman Gorzkowski: Ja (jako jedyny) głosowałem przeciwko tej uchwale, dwie osoby się wstrzymały od głosu, a reszta zatwierdziła uchwałę wraz z wysokością opłat. Teraz wyjaśnię, dlaczego byłem przeciw. Otóż właśnie z powodu tej niewielkiej różnicy trzech złotych pomiędzy opłatą za śmieci posegregowane i nieposegregowane.

Poza tym pojawia się problem, w jaki sposób wykryć oszustów, którzy zadeklarują segregację śmieci, a nie będą tego przestrzegać. Że na przykład wyrzucą nieumytą butelkę do czystych plastików. Mam nadzieję, że firma wyłoniona w przetargu, która będzie śmieci wywozić, będzie miała na to sposoby. I wyłapie tych oszustów.

U wiedeńczyków rozwiązano to bardzo prosto. Każdy, kto zobaczy, że jego sąsiad źle wyrzuca śmieci, może złożyć doniesienie na policję.

Ewa Miara: Ja myślę, że za wcześnie wchodzić w takie szczegóły teraz.

Roman Gorzkowski: I to nie jest kwestia kar, lecz świadomości. O segregowaniu śmieci musimy uczyć nasze dzieci od przedszkola.

Ale my nie możemy czekać, aż się wyedukują przedszkolaki. A poza tym nawyków nabiera się w domu rodzinnym. Jeśli rodzice nie będą segregować śmieci lub będą to robić nieuczciwie, to tak samo będą postępowały ich dzieci.

Czy podczas uchwalania opłat za śmieci była dyskusja na komisjach i na sesji?

Tadeusz Oleksów: Te trzy złote różnicy wynikło z wyliczenia firmy, która została wynajęta przez Urząd Miejski do opracowania prognoz opłat za wywózkę śmieci. I jestem przekonany, że za rok to się zmieni, dlatego nie ma potrzeby zwiększania różnicy.

Roman Gorzkowski: Ja przypuszczam, że firma, która zrobiła to opracowanie za kilkanaście tysięcy złotych, działała jednak w wyniku sugestii burmistrza. Na pewno przed przystąpieniem do opracowania padły pytania ze strony firmy, jakie przyjąć założenia.

Ustawa rządowa po nowelizacji styczniowej dopuściła różnicowanie opłat za posegregowane i nieposegregowane odpady oraz dopuściła możliwość wprowadzenia ulg. Spytałem więc burmistrza na sesji, czy w naszym mieście będzie to stosowane – te ulgi. Nie otrzymałem odpowiedzi. W innych miastach zapewne zastosowano ulgi i jestem zdania, że można było wziąć z nich dobry przykład.

Kiedyś dojdzie do złotoryjan ta wiadomość o znikomej różnicy opłat między rodzajami odpadów. Nie obawiacie się ich reakcji?

Ewa Miara: A wiesz, ile osób w ogóle nie będzie płaciło za śmieci?

Przecież szykujemy się psychicznie, mentalnie i organizacyjnie do segregowania śmieci. Podejrzewam, że 70 procent złotoryjan będzie to robić. Dlaczego więc radni zakładają, że będzie inaczej?

Roman Gorzkowski: Tak, masz rację, Agnieszko. Opracowanie zakłada, że 80 procent mieszkańców będzie segregować śmieci.

Radni uchwalili regulamin, zostaną kupione kolorowe pojemniki na segregowanie, powstanie cały ten PSZOK. Może być tak, że gdy złotoryjanie się dowiedzą o tej różnicy, to postanowią, że za 3 złote nie będą segregować. A wtedy może się okazać, że pieniądze z podatków złotoryjan zostały wyrzucone w błoto.

Ewa Miara: Będą też pojemniki na niesegregowane śmieci.

Tadeusz Oleksów: Będą wypełnione deklaracje i wtedy będzie wiadomo. To się odbędzie przed zakupieniem pojemników.

Roman Gorzkowski: A jeśli sto procent mieszkańców zadeklaruje segregowanie śmieci?

Ewa Miara: Wtedy zatrudniamy stu aniołów stróżów, którzy będą stać przy pojemnikach na śmieci i sprawdzać, czy mieszkańcy nie oszukują.

A jak zostanie rozwiązany problem podrzucania odpadów z innych domów do naszych kontenerów?

Tadeusz Oleksów: Można kontenery zamykać na klucz. Widziałem to w innych miastach.

Roman Gorzkowski: Ja mieszkam w budynku wspólnoty, ale korzystamy wszyscy ze śmietnika spółdzielni mieszkaniowej. Nie wiem, w jaki sposób zostanie to teraz rozwiązane. A może to nie będzie ważne? Przecież śmieci z całego miasta będzie wywoziła jedna firma.

Ewa Miara: Tak, firma będzie jedna, ale na pewno zatrudni podwykonawców.

Mam żal do radnych, że nie chcą podjąć chociażby próby upowszechnienia wśród swoich wyborców systemu gospodarki odpadami. Rozmawiałam z kilkoma radnymi – nie ma w nich woli do tego. Jako wyborca oczekuję od radnego mojego okręgu, że wyjdzie z inicjatywą w tym zakresie. Może za dużo oczekuję?

Tadeusz Oleksów: To jest sprawa Urzędu.

Ale masz teraz okazję spotkać się ze swoimi wyborcami, wytłumaczyć im, o co chodzi w tej rewolucji śmieciowej.

Ewa Miara: Nie zgadzam się z tobą. Gdy zostałam radną, uważałam, że moim obowiązkiem jest być na wszelkich oficjalnych spotkaniach. Chodziłam tam, mimo że często były poruszane rzeczy, które zupełnie mnie nie dotyczyły. Poza tym przychodziło na te oficjalne spotkania bardzo niewielu mieszkańców. Ludzie nie są chętni do uzyskiwania tego typu informacji.

Tadeusz Oleksów: Musimy zaufać firmie, którą burmistrz wynajął do opracowania prognoz opłat za śmieci. Trzeba poczekać i zobaczymy.

Roman Gorzkowski: Dotarcie do mieszkańców z regulaminem, deklaracjami, ustawienie na czas pojemników na śmieci oraz zorganizowanie PSZOK-u to jest obowiązek burmistrza. Ale jest inna kwestia. Im więcej będzie śmieci niesegregowanych, tym miasto będzie płaciło więcej. Może się okazać, że za pół roku będziemy płacić więcej za śmieci.

Agnieszka ma rację, że nam jako radnym powinno zależeć na tym, aby mieszkańcy płacili jak najmniej za śmieci i żeby tych opłat nie podnosić na przykład co pół roku. Poza tym, nie łudźmy się, psiakrew, że jakiekolwiek opłaty będą obniżane! Dlatego opłata śmieciowa też będzie podnoszona. Może więc warto się zastanowić, czy nie wykorzystać szansy i nie narzucić jakiejś swojej aktywności?

Brawo! O to mi chodziło!

Roman Gorzkowski: Na przykład porozmawiać z dyrektorami szkół, aby ujęli w programach kwestię segregacji śmieci. Radna Kinga Maciejak już to robi w podstawówce. Można uczulać dzieci na lekcjach wychowawczych, aby sprawdzały, czy ich dorośli domownicy wyrzucają śmieci do odpowiednich pojemników. Może warto, aby radny pojawił się na takiej lekcji jako przedstawiciel władz miasta, aby zaapelować do młodzieży. Ty Ewa na przykład pójdziesz na lekcję w mundurze harcerskim a Tadeusz w białym kitlu służby zdrowia.

Moim zdaniem radni dostali szansę, aby być bliżej swoich wyborców. Oni was wybrali. Jesteście im coś winni.

Roman Gorzkowski: Nie ma sensu robić zebrań i zapraszać ludzi. To nie wyjdzie.

Jest bardzo wiele innych sposobów. Wybór należy do was.

Roman Gorzkowski: Wpadłem na jeszcze inny pomysł. Żeby własnym sumptem (lub w jakiś inny sposób) powielić regulamin i rozdawać ludziom. Na przykład w moim bloku. I to regulamin w całości, nie jakieś wyjątki.

Tadeusz Oleksów: Ale to jest uchwała!

Roman Gorzkowski: Nie szkodzi, uchwały przecież są jawne.

No właśnie, jeśli przed wyborami rozdawaliście swoje ulotki wyborcze, to można teraz rozdawać regulamin.

Ewa Miara: To ja na mojej ulicy też rozdam ten regulamin. Problemem jest samo skserowanie regulaminu. Zastanawiam się, kto to sfinansuje?

Roman Gorzkowski: Mamy przecież diety.

Wy uchwaliliście regulamin i odpłatność za śmieci, nie burmistrz. W związku z tym to wy ponosicie odpowiedzialność za regulamin w takim kształcie.

Roman Gorzkowski: A jak to będzie? Firma wywiezie śmieci do Legnicy, a kto otrzyma rachunek? Firma śmieciowa czy miasto?

To jest temat na następny odcinek rozmów o śmieciowej rewolucji. Bardzo dziękuję wam za rozmowę.

Agnieszka Młyńczak

Na mocy decyzji z dnia 18 stycznia 2013 roku Burmistrza Miasta Złotoryi zezwalającej na zorganizowanie i przeprowadzenie publicznej zbiórki pieniężnej Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej z siedzibą w Złotoryi, ul. Szkolna 1 przeprowadziło zbiórkę publiczną na rehabilitację Filipa Chlasty.

Zbiórka miała miejsce 24 stycznia 2013 roku podczas otwarcia wystawy *Zdjęcie tygodnia 2012* oraz dorocznego spotkania z *czytelnikami Echa Złotoryi* na terenie Złotoryjskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji.

Po przeliczeniu zebranych środków komisja ustaliła, iż w wyniku zbiórki uzyskano kwotę 3935 złotych i 50 groszy (*trzy tysiące dziewięćset trzydzieści pięć złotych 50/100).* Kwota ta została w dniu 25 lutego 2013 roku opłacona faktura za usługi rehabilitacyjne dla Filipa Chlasty, wystawiona przez firmę *Fizjoterapia Agnieszka Jabłońska.*

Informacja o wynikach zbiórki została podana także w *Gazecie Złotoryjskiej* nr 5 (30 I) z 2013 roku.

Kronika

14.02. Odbyły się pierwsze zajęcia Szkoły Liderów Społecznych w Złotoryi prowadzone przez trenerów z Legnickiego Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich. Młodych liderów na spotkanie zaprosiło stowarzyszenie Nasze Rio.

16-17.02. W Hali Sportowej „TĘCZA" w Złotoryi rozegrano II Turniej Piłki Halowej o Puchar Burmistrza Miasta Złotoryja w 4 kategoriach wiekowych. W turnieju wzięło udział 29 drużyn.

16.02. Odbyła się pierwsza kolejka II ligi bilardowej. Zawodnicy klubu Loft Bilard Club Złotoryja rozegrali spotkanie z Hadesem Poznań.

17.02. W Pecu pod Śnieżką odbyły się XXVII Otwarte Narciarskie Mistrzostwa Legnicy w slalomie gigancie, w których uczestniczyło 50 zawodników z Wrocławia, Kowar, Jawora, Złotoryi, Chojnowa, Lubina i Legnicy.

18.02. Wybory do Młodzieżowej Rady Miejskiej w Złotoryi.

20.02. Muzeum Złota i Złotoryjski Ośrodek Kultury i Rekreacji ogłosiły konkurs „Piękno drzemiące w wulkanach" - Edycja II.

20.02. Wernisaż prac Tadeusza Piszczka „Świat w ołówku" w Galerii Libris przy MBP w Złotoryi.

26.02. Został przeprowadzony „Złotoryjski Konkurs Ortografii i Czytania ze Zrozumieniem" pod honorowym patronatem Burmistrza Miasta Złotoryja.

27.02. Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Złotoryi wzbogacił się o dwie nowe sale terapeutyczne: salę Doświadczania Świata i salę do terapii Integracji Sensorycznej. Sale oraz pomieszczenia pomocnicze mieszczą się w przyziemiu budynku złotoryjskiego LO.

27.02. Złotoryjska firma Ren But otrzymała „Złoty Obcas 2013", nagrodę przyznawaną przez czytelników miesięcznika „Świat Obuwia".

27.02. „Gala biznesu na rzecz dzieci" to projekt realizowany w ramach ogólnoświatowej akcji pomocy na rzecz dzieci w Afryce. W programie tym bierze udział gimnazjum w Zagrodnie.

28.02. Na sesji Rady Miejskiej radni zweryfikowali niektóre uchwały śmieciowe'.

01-03.03. W Jakuszycach odbył się 37. Bieg Piastów, wzięło w nim udział 4275 osób. Bieg Piastów to najstarsza i największa w Polsce impreza narciarska.

01-03.03. W bułgarskiej miejscowości Samokov rozegrano V Puchar Europy w Taekwon-do. Doskonale spisali się trenerzy Złotoryjskiej Sekcji Taekwon-do - Gabriela i Karol Forgiel, reprezentujący barwy Legnickiego Klubu Taekwon-do.

03.03. W Łodzi odbyły się zawody „Łódzka Otwarta Liga" w wyciskaniu sztangi leżąc. Nasze miasto reprezentował Andrzej Kocyła z klubu Wilkołak, który wygrał z wynikiem 232,5 kg.

04.03. Drużyna KPH „LIDER" zwyciężyła w rozgrywkach złotoryjskiej ligi piłki nożnej halowej w sezonie 2012/2013.

05.03. W Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Pawła II w Złotoryi odbyła się kolejna „Akcja Krwiodawstwa".

09.03. Odbyło się spotkania o mistrzostwo II Ligi w bilarda pomiędzy Loft Bilard Club Złotoryja a Zakręconą Bilą Poznań.

09.03. W telewizyjnym programie muzycznym X Factor wystąpiły młode wokalistki ze Świerzawy - Monika i Milena Gordziejewskie, uczennice naszego liceum.

09.03. W sali widowiskowej w Świerzawie odbyło się spotkanie z okazji Dnia Kobiet pod hasłem „Jej portret.." zorganizowane przez CKSiT.

14.03. W siedzibie TMZZ w Domu Nauczyciela „Bacalarus" odbyło się Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. **(TMZZ)**

Opracowała Krystyna Zalewska

Zaginiony świat

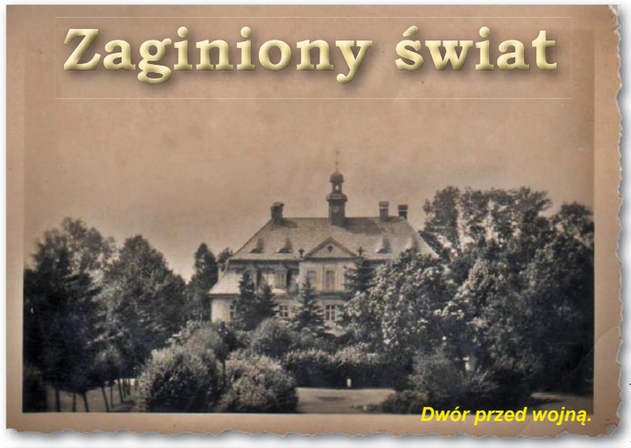

Dwór przed wojną.

Dwór, stan obecny. Fot. Cezary Skała

Prawie rok temu, przy okazji zbierania materiałów do książki „Zatrzymane chwile", trafiłam do starszej pani , która od 1955 roku mieszka w domu byłego zarządcy zespołu dworskiego w Jastrzębniku. Okazało się , że utrzymuje ona od lat kontakt z wnukiem przedwojennych właścicieli tego, jak go nazywają we wsi, pałacu. Udało się ją namówić na przekazanie mi jego adresu. Miała przy tym trochę obiekcji, ale okazało się, iż niesłusznie.

Napisałam list do pana Christiana Seidla, który ucieszył się, że ktoś zainteresował się historią jego rodziny. Został zaproszony na otwarcie wystawy „Historia i współczesność Pielgrzymki", ale niestety nie mógł przyjechać w tym terminie. W zamian przesłał kilka zdjęć rodzinnych, na których możemy zobaczyć, jak wyglądał wspomniany dwór przed wojną. Spotkaliśmy się w siedzibie TMZZ dopiero w listopadzie. Poznałam wtedy sympatycznego starszego pana, który opowiedział mi swoją rodzinną historię. Przywiózł ze sobą tzw. Stammbuch, czyli rodową książkę, w której są spisywane dane dotyczące wszystkich członków rodziny (chrzty, śluby, zgony). Po powrocie do Niemiec spisał swoje wspomnienia i wysłał do mnie razem ze zdjęciami i kopiami fragmentów Stammbucha.

Oto jego wspomnienia:

Mój dziadek Bernhard Wiggert urodził się w listopadzie 1866 roku w Greiffenberg (obecnie Gryfów Śląski). Przybył w wieku 18 lat do Steinberg (obecnie Jastrzębnik) jako następca swojego wujka i cioci, którzy byli bezdzietni. Potem został właścicielem zespołu dworskiego. Dzierżawił kamieniołom wraz z wozami i zaprzęgiem. Dziadek ożenił się z Gertrudą z domu Hellmich, która pochodziła z majątku Tarnast (Tarnowiec) , w powiecie Trebnitz (obecnie Trzebnica). Moja babcia urodziła się 11 października 1885 r. Wzięli najpierw ślub cywilny w Schawojne (potem nazywane Blüchertal, obecnie Zawonia) , a potem kościelny 2 maja 1906 roku w kościele Marii Magdaleny we Wrocławiu. Dziadek mój zmarł 30 września 1916 roku w klasztorze Braci Franciszkanów we Wrocławiu, babcia zaś 20 sierpnia 1946 r. w Stade.

Mieli oni dwie córki. Pierwsza z nich to moja matka: Aasta Mathilde Wally Wiggert, ur. 23 września 1907 roku w Jastrzębniku. Jej siostra Irmgard była o 4 lata młodsza.

Moi rodzice pobrali się 28 maja 1938 roku w Pilgramsdorf (obecnie Pielgrzymka). Mama wyszła za posiadacza ziemskiego Fritza Seidla z Schimmelwitz (obecnie Szymanowice w powiecie Legnica). Z tego małżeństwa przyszło na świat dwóch synów: w 1940 r. starszy Kurt Bernhard i w 1943 r. młodszy - Christian. Obaj urodziliśmy się w Goldberg (obecnie Złotoryja), ja w tzw. „starym" szpitalu, obecnie jest to Szpital Psychiatryczny. Mieszkaliśmy z rodzicami w Szymanowicach.

Pod koniec stycznia 1945 roku moja mama musiała z nami, dziećmi, opuścić majątek w Szymanowicach i uciekać do zachodnich Niemiec. Miałem wtedy 2 lata. W maju 1945 roku przyjechaliśmy do Litzendorf w powiecie Bamberg. Mój ojciec został jeszcze w Szymanowicach, aby zatroszczyć się o dwa folwarki. W tym czasie trzy razy był zmuszony kopać sobie grób. Rosjanie stali nad nim z bronią. Późnym latem 1946 roku przyjechał do nas. Pierwsze lata na obczyźnie były bardzo ciężkie dla naszych rodziców.

14 grudnia 1955 r. zmarł mój ojciec. Mój brat uczył się rolnictwa. Ja chodziłem do szkoły i zacząłem praktykę jako stolarz. Mama i ja zbudowaliśmy w Litzendorf dom, w którym ona pomieszkała tylko dwa lata. Zmarła w wieku 59 lat. Ja zdałem w 1967 r. egzamin mistrzowski i zostałem mistrzem stolarskim.

Dopiero po 60 latach od końca wojny przyjechałem tam, gdzie są moje korzenie, czyli do Szymanowic i do mojego miejsca urodzenia - Złotoryi. Zarówno w Jastrzębniku , jak i w Szymanowicach , nawiązałem dobry kontakt z obecnymi mieszkańcami. W tym ostatnim miejscu byłem mile zaskoczony, że nowi właściciele domu i gospodarstwa tak o nie zadbali. To naprawdę cieszy. Spotkałem tam sąsiadkę, która znała jeszcze moich rodziców i chroniła mojego tatę przed Rosjanami, zanim opuścił on Śląsk w 1946 roku. Dom w Jastrzębniku znajduje się, niestety, w ruinie. Przy mojej ostatniej wizycie okazało się, iż stajnia też została zburzona.

Zawsze chętnie wracam do mojej starej ojczyzny i wybieram się w podróż, odkrywając miejsca znane mi z opowiadań rodziców. **Christian Seidel**

Dziadkowie Christiana Seidla

Christian Seidel z wnukiem

Wielka szkoda, że nie udało się zachować dworu w Jastrzębniku w takim stanie, jak w Szymanowicach. Majątek został przekazany Państwowemu Gospodarstwu Rolnemu. W dworze mieściły się biura PGR, stacjonowali żołnierze pomagający w pracach polowych, była kuchnia i stołówka. Po rozwiązaniu PGR oddano go na mieszkania dla osób prywatnych. W roku 1992 miał miejsce pożar, który strawił dach dworu. Od tej pory stoi opuszczony i niszczeje, coraz bardziej popadając w ruinę. Możemy sobie tylko wyobrazić, jak wyglądał przedtem. Był otoczony pięknym parkiem, którego pozostałości są widoczne do dzisiaj. Na szczęście ocalały dwa budynki mieszkalne: dawnego zarządcy i budynek dla pracowników folwarku. Ich obecni właściciele starają się dbać o porządek wokół swoich posesji. Właścicielem terenu oraz pozostałości „pałacu" i zabudowań gospodarczych jest obecnie gmina Pielgrzymka. Jest więc szansa, iż uda się jeszcze przywrócić im poprzedni stan. Zwłaszcza, iż dwór w Jastrzębniku jest związany z ważnymi wydarzeniami historycznymi. W 1813 roku, z 25 na 26 sierpnia, mieścił się w nim sztab 17 Dywizji Puthod, która brała udział w bitwie o Złotoryję i wycofała się po jej wygraniu do Jastrzębnika. Na okolicznych polach stacjonowało zaś 5 tysięcy żołnierzy. Naprawdę warto zadbać wspólnie o ten zabytek.

Wioleta Michalczyk

Dom zarządcy majatku

Stajnia

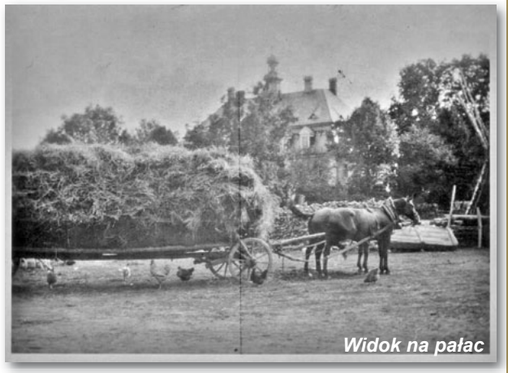

Widok na pałac

Dom dla pracowników majatku

Um 21.30 aus Hartliebsdorf

Pani Neumann otrzymała depeszę od męża: „Najukochańsza Lilly stop Przyjeżdżam jutro z dziećmi stop. Twój Edgar stop." Kobieta bardzo ucieszyła się na tę wiadomość. Stęskniła się już za ukochanym i oczywiście dziećmi. Tymczasem z dworca w Neudorf/Gröditzberg wyjeżdżali w kierunku Schloss Gröditzberg. Po kilku minutach byli już na miejscu. Konie zajechały na pałacowy podjazd. Na zegarze wybiła właśnie 17. 30. Przed budynkiem na gości czekał Georg - majordomus pana von Dircksena. Ubrany w najlepszą liberię, w asyście dwóch innych służących przywitał gości. Pani Neumann, Katharina i właściciel udali się do reprezentacyjnego holu pałacu. Musiał on ze swoimi dziełami sztuki zrobić na Katharinie niemałe wrażenie, gdyż ta z zachwytu prawie oniemiała. Na prośbę Pani Neumann właściciel zaczął snuć historię pałacu, który wzniesiony został w latach 1718 -1727, wg projektów J. Peintnera jako późnobarokowy budynek. „Barok…" - pomyślała marzycielsko Pani Neumann. To jedna z niewielu epok w historii, która robiła na naszej bohaterce wrażenie. Współczesnej sztuki Pani Neumann po prostu nie rozumiała, często mawiała, że właśnie na baroku skończyła się dla niej sztuka. Na klatce schodowej, wysłanej ciemnozielonym dywanem, przymocowanym złotymi okuciami, pojawiła się Pani Dircksen, ubrana w suknię popołudniową z delikatnego muślinu, miękko opływającą jej sylwetkę. Jej tycjanowe włosy zebrane w pęki po obu stronach twarzy i fryzowana grzywka nad czołem wyglądały po prostu zjawiskowo. Panie przywitały się i na znak Georga wszyscy udali się na taras, gdzie czekała na nich popołudniowa herbata. Podano ją w bardzo ładnej, delikatnej, połyskującej porcelanie ozdobionej intensywnie purpurowymi różami - małą i dużą z cenionej manufaktury miśnieńskiej. Swoim spostrzegawczym okiem Pani Neumann od razu zauważyła, że zdobienia wykonywane były całkowicie ręcznie.

Herbata na tarasie w otoczeniu wspaniałego parku w stylu angielskim zrobiła wrażenie na hrabinie. Spotkanie upływało na miłych rozmowach i wspomnieniach. Około 18.45 lokaj zaanonsował, iż podano kolację. Goście przeszli do jadalni. Stół był obficie zastawiony, znajdowały się na nim rodowe srebra i porcelana z monogramami rodziny von Dircksen. Na kolację podano wołowinę po prowansalsku. Do tego vin de table. Potem przyszła pora na obejrzenie wspaniałej kolekcji księgozbioru z biblioteki właścicieli majątku. To najbardziej zaciekawiło Panią Neumann. Niejednokrotnie w towarzystwie słyszała o kolekcji Pana von Dircksen, rzeczywiście to był wspaniały księgozbiór. Najstarsze woluminy pamiętały czasy średniowiecza. Wspaniała kolekcja dzieł literatury francuskiej, angielskiej i oczywiście niemieckiej. Czas płynął tak szybko… nie wiadomo kiedy na pałacowym zegarze wybiła godzina 20.30. Pani Neumann nie miała w planach zatrzymania się na dłużej w posiadłości G Gröditzberg. Ostatni pociąg odchodził za godzinę. Pogoda dopisywała, był ciepły lipcowy wieczór. Zapach lata i unosząca się woń polnych kwiatów były po prostu cudowne. Dlatego zdecydowano, że goście wsiądą na stacji Hartliebsdorf położonej kilka kilometrów dalej. Przy powozie już tliły się lampy. Hrabina, Katharina i małżonkowie von Dircksen zasiedli w powozie. Panie w narzutkach poprawiły kapelusze, to był znak, aby ruszać w kierunku dworca w Hartliebsdorf. Powoli zapadał zmierzch, a powóz zniknął w ciemnej grabowej alei…

Dworzec w Skorzynicach (Hartliebsdorf) zaliczany był do klasy IV. Celowo piszę „był", gdyż niewiele z niego zostało. Został wzniesiony przez mistrza murarskiego Urbana ze Złotoryi. Dworzec jest/był analogiczny do obiektów wznoszonych na omawianej przeze mnie trasie. Sam budynek był dość okazały, ponieważ mieściła się w nim restauracja, magazyn i mieszkania dla pracowników kolei. Niestety, brak jakichkolwiek danych statystycznych na jego temat. Pewne jest, że w pobliżu dworca mieściła się hala z kruszarką do przeróbki piaskowca, którą ulokował tu niejaki Riggel. Kamieniołomy piaskowca znajdowały się m.in.w pobliskim Zbylutowie (Deutamannsdorf). Oprócz tego znajdował się tutaj plac węglowy, którego ajentem był Stahn. Obecnie budynek jest opuszczony, zaniedbany i niestety, grozi zawaleniem.

c.d.n.
Tomasz Szymaniak

Siła tradycji

Bohaterowie książki „Zachowane tradycje". Fot. Dawid Rycąbel

W czwartek (21. marca 2013 r.), zgodnie z zapowiedziami, wrócił mróz i opady śniegu. Zmartwiło to organizatorów popołudniowego spotkania w twardocickiej świetlicy, w której miała odbyć się uroczysta promocja książki „Zachowane Tradycje", wydanej przez Gminny Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Pielgrzymce. Martwili się niepotrzebnie. Zaproszeni bohaterowie drugiego wydania wspomnień mieszkańców Gminy Pielgrzymka stawili się licznie w towarzystwie rodzin. Obecni byli także goście honorowi w osobach: Starosty Złotoryjskiego – Józefa Sudoła, Wójta Gminy Pielgrzymka – Tomasza Sybisa, Przewodniczącego Rady Gminy – Jarosława Pisarskiego, Przewodniczącego Rady Powiatu – Zenona Bernackiego, Wiceprezesa TMZZ – Kazimiery Tuchowskiej. Na uroczystość przybyli mieszkańcy z powiatu złotoryjskiego, którzy chcieli swoją obecnością podkreślić wagę wydarzenia. Wcale niemała sala w całości wypełniona była ludźmi.

Gospodarzami spotkania byli współautorzy książki - Wioleta Michalczyk, Małgorzata Semeniuk, Sebastian Dębicki. Po krótkim wstępie omawiającym proces gromadzenia materiału do książki zaprezentowano program artystyczny, w którego treści wpleciono wypowiedzi seniorów – bohaterów publikacji. W tej roli wystąpili: Julia Danielak, Dominika Kasprzyk, Klaudia Kwakrzyc, Wojciech Pisarski. Multimedialną prezentację bohaterów, stanowiącą ilustrację do odczytywanych charakterystyk, zaprezentował Maciej Dziadyk. Zgromadzona publiczność w ciszy wpatrywała się w portrety seniorów i słuchała informacji o miejscach, z których przybyli, jak pracowali, jak poznali swoich partnerów życiowych. Te pojedyncze zdania wyrwane z kontekstu życia wywoływały wzruszenie słuchaczy. Spod niejednej powieki popłynęła łza. Zwyczajny człowieczy los, którego doświadczali w ciągu swego życia, kojarzony tylko z własną osobą i członkami swojej rodziny, nagle urósł do rangi mitu, stał się transparenty, bo zobaczony z boku nabrał zupełnie innego wymiaru.

Te strzępy życiorysów seniorów to fragmenty dłuższych opowieści, w których przepytywani mieszkańcy Gminy Pielgrzymka zawarli informacje o swoim życiu, ale przede wszystkim o zwyczajach, pracy, formach spędzania czasu wolnego przed wojną i już po osiedleniu się na Ziemiach Odzyskanych. I choć przybyli z terenów przedwojennej Polski odmiennych kulturowo, to z czasem znaleźli „wspólny mianownik", który szybko uwidocznił się w tym, o czym wszyscy myśleli, jak działali, jak wyobrażali sobie swoje powinności, co posiadali. Swoje „kulturowe wiano" przenieśli do nowej Polski, wspólnie obchodzili święta kościelne, rodzinne, państwowe, spędzali czas na zabawach. Dzisiejsi seniorzy bardzo dobrze pamiętają swoje pierwsze lata, trudne warunki życia, ciężką pracę, generalnie biedę i wielką potrzebę zabawy (niejedna potańcówka skojarzyła pary, które dotrwały do czwartkowego spotkania).

Wioleta Michalczyk, Małgorzata Semeniuk, Sebastian Dębicki. Fot. Dawid Rycąbel

Zebrane wspomnienia podkreślają rolę licznych powtarzalnych czynności o znaczeniu symbolicznym i wypełniających naszą codzienność, które przyjęliśmy nazywać tradycją, a których zadaniem jest spajanie społeczności lokalnej, budowanie więzi rodzinnych i sąsiedzkich, budowanie poczucia wrażliwości moralnej i życia we wspólnocie na dobre i na złe. Świadomość wspólnoty losu i stylu życia, samowystarczalności, dawała siłę i chęci do pokonywania życiowych trudności, czasami dźwigania osobistego krzyża w imię zachowania jedności terytorialnej, ale i budowania Polski dla kolejnych pokoleń.

Tradycja upraszcza życie, bo zwalnia z konieczności nieustannego rozważania i oceniania naszych zachowań, oferuje rozwiązania niekolidujące z działaniem innych ludzi. Ale tradycja jednocześnie wzbogaca nasze życie, chociażby dlatego, że determinuje naszą aktywność na arenie społecznej, zmusza do wzajemnego oddziaływania na siebie, sprawia, że zwyczajnie chce nam się „wyjść do ludzi".

Za odwagę i chęć dzielenia się swoją życiową mądrością z młodszymi pokoleniami organizatorzy nagrodzili swoich bohaterów kwiatami i upominkami. Publiczność z podziwem nagradzała głośnymi oklaskami. Duże brawa zebrali również uczniowie za dedykację muzyczną - Wojciech Pisarski za wykonanie utworu „Lniany ręcznik", Julia Danielak za piosenkę z repertuaru Violetty Villas „Mamo", Łukasz Pisarski za wykonanie muzycznej wersji poematu Juliana Tuwima „Kwiaty polskie".

Współautorzy dziękowali sobie za dobrą współpracę. Pan Dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury Sportu i Rekreacji, wyraźnie zadowolony z efektów pracy, od siebie obdarował dyplomami, kwiatami i upominkami obie zaangażowane w projekt Panie - Wioletę Michalczyk i Małgorzatę Semeniuk oraz inne osoby, które włożyły swój wkład w powstanie drugiej części wspomnień. I tak dyplomy otrzymali: Anna Markiewicz za korektę tekstu, Damian Komada za skład komputerowy i projekt graficzny okładki.

Część oficjalną spotkania zakończyły podziękowania i gratulacje składane przez gości honorowych. Wszyscy podkreślali wagę zrealizowanego projektu i korzyści, jakie będą z niej miały przyszłe pokolenia. W wypowiedziach pojawiła się myśl, że powoli można zacząć przymierzać się do spisywania doświadczeń pokoleń powojennych, czyli urodzonych już na „tych" terenach. Ich wiedza i życiorysy także godne są uwiecznienia.

Spotkanie zakończyła część nieoficjalna – poczęstunek w postaci tradycyjnych potraw, m.in. pierogów i ciast, a także kojarzącego się z wiejskim życiem chleba ze smalcem z ogórkiem kiszonym, bez którego trudno już sobie wyobrazić spotkanie Kresowian. Zastawione dwa długie stoły z pysznościami zdobiły dekoracje wielkanocne, które – jak się okazało – były dziełem miejscowych twórców i uczestników licznie organizowanych w gminie warsztatów. Prawdziwe dzieła sztuki z dominacją wiosennej kolorystyki.

Omówiona publikacja i wszystko, co się dokoła niej wydarzyło pokazuje, że warto podejmować trud, który jednoczy ludzi we wspólnym działaniu. Współczesne przeobrażenia cywilizacyjne, zachodzące w nich procesy industrializacji i przeobrażeń społeczno-zawodowych, a także wzmożonej ruchliwości (zwłaszcza ludzi młodych) sprawia, iż bezpowrotnie zanikają pewne oczywiste i niepodważalne rytuały i zwyczaje. Młode pokolenia przejmują tradycję, ale w sposób już wyselekcjonowany, wybiórczy i nie tak gorliwy, jak w przypadku pokolenia dzisiejszych dziewięćdziesięciolatków. Publikacje, takie jak „Zachowane Tradycje", dają szansę - jeśli nie na powrót w ich przedwojennej i tuż-powojennej formy oraz znaczenia, to chociaż na ocalenie tego, co niewątpliwie stanowiło podstawę do utworzenia w nowym miejscu, na powojennym gruncie, nowej spójnej społeczności o silnych korzeniach. Taki żywy przekaz jest najwyższej jakości lekcją patriotyzmu lokalnego, przygotowaniem do życia w społeczeństwie, pracy dla niego oraz upamiętniania ludzi i ich dokonań.

Joanna Sosa-Misiak

Ważne podsumowanie

Czternastego marca 2013 roku odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Frekwencja dopisała. W zebraniu uczestniczył gość - członek Zarządu Dolnośląskiego Towarzystwa Społeczno–Kulturalnego we Wrocławiu - **Marek Nałęcz-Socha**. Zebranie poprowadziła **Danuta Sosa**, a protokół sporządziła **Magdalena Przydryga.**

Zebranie otworzył prezes - **Aleksander Borys**; powitał zebranych, powołał prowadzącą i protokolanta, a następnie przedstawił sprawozdanie z działalności TMZZ w okresie kadencji 2010-2013. Sprawozdanie nie było szczegółowe, a mimo to prezes mówił, mówił. Przedstawił realizacje zadań statutowych i tych, które pojawiały się na bieżąco. Omówił zrealizowane i zamierzone wydawnictwa, uczestnictwo i współorganizację uroczystości lokalnych w mieście i okolicznych miejscowościach. *Organizowaliśmy sesje popularno-naukowe, wystawy, ekspozycje i odczyty* - mówił prezes. - *Wydajemy Echo Złotoryi wysoko oceniane przez znawców tematu i czytelników. Nie posiadamy etatów, wszyscy pracujemy społecznie.* I za tę oddaną pracę serdecznie wszystkim podziękował.

Pozostając przy głosie prezes wyliczył wyróżnienia otrzymywane przez członków TMZZ i nasze stowarzyszenie. Nie omieszkał przypomnieć, że ważnym adresatem działalności stowarzyszenia jest młodzież, dla której prowadzone są lekcje regionalne, gromadzone eksponaty i prowadzona biblioteka. Pomimo wyraźnego akcentowania obecności młodzieży w życiu TMZZ sprawozdawca z zadowoleniem przypomniał zebranym o najstarszej grupie w naszym życiu - Kresowianach, ich spotkaniach, I Złotoryjskiej Biesiadzie Kresowej i zaangażowaniu w rozwój ekspozycji pamiątek w Izbie Kresowej. Nie pominął Klubu Fotograficznego i Klubu Kolekcjonera. Kończąc swój wywód prezes jeszcze raz podziękował sponsorom, sprzymierzeńcom, działaczom i uczestnikom.

Sprawozdanie finansowe za 2012 rok złożył skarbnik – **Bogusław Cetera**. Ubolewał nad małymi wpływami z tytułu składek członkowskich i brakiem znaczących dotacji na działalność od organów samorządowych.

Przewodnicząca Komisji Rewizyjnej - **Anna Bednarz** złożyła sprawozdanie i udzieliła Zarządowi absolutorium.

Następnie przeprowadzono wybory jawne do Rady Programowej i tajne do Zarządu, Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego, który w mijającej kadencji nie musiał rozpatrywać żadnych spraw.

Do Zarządu weszli**: Zenon Bernacki, Aleksander Borys, Bogusław Cetera, Aneta Mazur, Aleksander Pecyna, Krystyna Rybicka, Danuta Sosa, Tomasz Szymaniak i Kazimiera Tuchowska.**

Do Komisji Rewizyjnej weszli**: Dorota Maciejewska, Magdalena Przydryga i Krzysztof Zamojski.**

Sąd Koleżeński utworzyli: **Karol Łąk, Andrzej Maszczak i Jan Nowak.**

W planie zebrania przewidziano dyskusje, w wyniku której zgłoszono wnioski – materiał wyjściowy do uchwał.

W trakcie obrad zgromadzeni uczcili pamięć oddanego przyjaciela TMZZ – **śp. Adama Pleśnara**, członka Zarządu DTSK.

Danuta Sosa

Order dla Herberta Helmricha

W 2011 r. Rada Miejska nadała Herbertowi Helmrichowi tytuł Honorowego Obywatela Miasta Złotoryi, wcześniej został on Honorowym Członkiem TMZZ. Swoje śląskie losy rozpoczęli Helmrichowie w średniowiecznym Dobkowie, m. in. w czasach renesansu piastowali w Złotoryi funkcje burmistrzów i rektorów. Dzięki Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej, której współprzewodniczącym był do niedawna Herbert Helmrich, mogło nasze miasto np. zbudować Pałacyk nad zalewem, odremontować Dom Nauczyciela „Bacalarus", schronisko turystyczne oraz gmach LO.

Decyzją Prezydenta RFN, Herbert Helmrich został niedawno odznaczony Wielkim Krzyżem Zasługi z Gwiazdą Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. Uroczystość odbyła się w warszawskiej Rezydencji Ambasadora RFN w dniu 1 marca. Swoją obecnością zaszczycili m.in. były premier Tadeusz Mazowiecki, parlamentarzyści, przedstawiciele miast oraz stowarzyszeń z Polski i Niemiec. Gospodarz uroczystości, ambasador Rüdiger Freiherr von Fritsch, podkreślił szczególne zasługi odznaczonego dla stosunków niemiecko-polskich podczas długoletniej aktywności zawodowej i pozazawodowej. Jako członek Zarządu FWP-N, w ciągu 16 lat, Herbert Helmrich miał istotny wpływ na realizację wielu projektów w Polsce, zwłaszcza w dziedzinie oświaty, ochrony zabytków, wymiany młodzieży. Ambasador wspomniał także o kontaktach Herberta Helmricha z ziemią złotoryjską. Równocześnie tym samym orderem odznaczony został b. ambasador RFN w Polsce, Johannes Bauch.

Dzięki zaproszeniu Herberta Helmricha, w uroczystości mogła wziąć udział delegacja ze Złotoryi: były burmistrz miasta Kazimierz Zwierzyński, prezes TMZZ Aleksander Borys, Alfred Michler, Józef Banaszek oraz niżej podpisany. Aleksander Borys, występując w imieniu złotoryjan, podziękował Herbertowi Helmrichowi i FWP-N także za decydującą pomoc w powstaniu Ośrodka Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej. Korzystając z okazji, zaprosiliśmy nieoficjalnie ambasadora von Fritscha do Złotoryi oraz wręczyliśmy niektóre z naszych wydawnictw. Z Herbertem Helmrichem niebawem się znów spotkamy, w lipcu zamierza odwiedzić Dobków i Złotoryję.

Serdecznie gratulujemy panu Herbertowi Helmrichowi otrzymanego orderu!

Roman Gorzkowski

„Kampania napoleońska 1813 roku na ziemi złotoryjskiej – w dwusetną rocznicę wydarzeń"

Gorąco zapraszamy do udziału w konkursie!

Regulamin

1. Organizatorem konkursu jest Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.
2. Patronat honorowy nad konkursem objęli Wójt Gminy Złotoryja, Starosta Powiatu Złotoryjskiego oraz Nadleśniczy Nadleśnictwa Złotoryja.
3. Konkurs przeznaczony jest dla

uczniów szkół podstawowych, gimnazjów, szkół ponadgimnazjalnych i dorosłych z miasta Złotoryi oraz miejscowości powiatu złotoryjskiego.
4. Eliminacje oraz finały odbywać się będą w trzech pionach: uczniowie szkół podstawowych, uczniowie gimnazjów, uczniowie szkół ponadgimnazjalnych i dorośli.
5. Pytania będą obejmować:
- najważniejsze wydarzenia 1813 r. z terenu miasta oraz gminy Złotoryja,
- sylwetki bohaterów (dowódców, przedstawicieli władz lokalnych, duchownych),
- miejsca ważniejszych bitew i potyczek,
- tradycje oraz pamiątki, np. pomniki, inscenizacje, grupy rekonstrukcyjne,
- elementy umundurowania żołnierzy w 1813 r.

6. Konkurs prowadzony będzie w dwóch kategoriach:
- rywalizacja indywidualna: testy pisemne
- rywalizacja zespołowa: każda szkoła oraz dorośli mają prawo zgłosić nieograniczoną liczbę 2-3 osobowych zespołów, których zadaniem będzie przygotowanie prezentacji lub pracy plastycznej.

Prezentacje muszą zawierać wszystkie elementy tematyki (patrz pkt 5) i mieć formę pokazu slajdów lub 2-4 minutowego filmu. Praca plastyczna to plakat, gazetka, makieta, rzeźba, itp.

Prezentacje oraz prace plastyczne zostaną ocenione podczas finału. Każdy uczestnik może startować w dwóch kategoriach.

7. Konkurs składa się z następujących etapów:

Pisemne eliminacje szkolne: 15 kwietnia 2013 r. o godz. 13.30 w macierzystych szkołach (18 pytań). Trzech najlepszych uczniów z każdej szkoły kwalifikuje się do finału. W przypadku jednakowej ilości punktów szkoły przygotowują dogrywkę we własnym zakresie. Protokoły z eliminacji szkolnych prosimy dostarczyć do TMZZ do dnia 22 kwietnia, na piśmie lub drogą elektroniczną.

Pisemne eliminacje z udziałem osób dorosłych odbędą się w siedzibie TMZZ 15 kwietnia o godz.17.00 – do finału kwalifikuje się 5 osób.

Finał indywidualny: 13 maja 2013 r. w siedzibie TMZZ, ul. Szkolna 1: szkoły podstawowe – godz. 10.00, gimnazja godz. – 11.00, szkoły ponadgimnazjalne – godz. 12.00, dorośli – godz. 17.00. W finale – 18 pytań.

Finał zespołowy: 14 maja 2013 r. w siedzibie TMZZ: szkoły podstawowe – godz. 10.00, gimnazja – godz. 11.00, szkoły ponadgimnazjalne – godz. 12.00, dorośli – 17.00. Prezentacje lub prace plastyczne prosimy dostarczać do TMZZ w dniach od 6 do 10 maja.

Nagrody i dyplomy zostaną wręczone laureatom w dniu finału.

8. Zgłoszenia udziału w konkursie prosimy dostarczyć na adres TMZZ do dnia 8 kwietnia 2013 r., pisemnie lub drogą elektroniczną. Karty zgłoszenia dostępne są na stronie internetowej www.tmzz.zlotoryja.pl lub w siedzibie TMZZ.

Pytania w sprawach związanych z konkursem prosimy kierować do Cezarego Skały – tel. 721749591, mail:cezaskal@gmail.com lub Romana Gorzkowskiego, tel. 768784672, 661743992, mail: rogorz@poczta.fm

Bibliografia

www.facebook.com/Jerzmanice

Bitwa o Rokitnicę. Rozmowa Agnieszki Młyńczak z uczestnikami inscenizacji bitwy. „Echo Złotoryi" 2010 nr 7-8 (68-69) s. 14-15.

Buniowski P., Gorzkowski R. *Wspólne losy.* „Echo Złotoryi" 2011 nr 5 (66) wkładka.

Buniowski P., Skała C. *Gmina Złotoryja: zabytki znane i nieznane.* „Echo Złotoryi" 2011 nr 6 (67) wkładka.

Dzieje Złotoryi. Pod red. R. Gładkiewicza. Złotoryja-Wrocław 1997 s. 107-108.

Gorzkowski R. *Gorący czerwiec 1813 r.* „Echo Złotoryi" 2007 nr 6 (19) s. 22.

Gorzkowski R. *Cisza przed burzą – lipiec 1813 r.* „Echo Złotoryi" 2007 nr 7(20) s. 14.

Gorzkowski R. *Krwawy sierpień 1813 r.* „Echo Złotoryi" 2007 nr 8 (21) s. 14.

Klimaszewski P. *Regimenty pod Wilkołakiem.* „Echo Złotoryi" 2010 nr 7-8 (68-69) s. 14-15.

Michler A. *Gmina Złotoryja dawniej i dziś. Zarys historii miejscowości. Dziedzictwo kulturowe oraz dorobek współczesności.* Złotoryja 2006 s. 162-163.

Młyńczak A. *Rokitnica 1813-2011.* „Echo Złotoryi" 2011 nr 9 (70) s. 20-21.

Olczak M. *Kampania 1813. Śląsk i Łużyce.* Warszawa 2004 s. 413-427.

Skała C. *Pomnik bitwy o Złotoryję.* „Echo Złotoryi" 2012 nr 2 (75) s. 13.

Skała C. *Porządki przy pomniku.* „Echo Złotoryi" 2012 nr 4 (77) s. 13.

Skala C. *Śląska kampania 1813 r. a sprawa polska.* „Echo Złotoryi" 2012 nr 4 (77) s.15.

Wilkołak (Wilcza Góra) koło Złotoryi. Geologia-przyroda-historia. Pod red. R. Gorzkowskiego. Złotoryja 2010 s. 74-83

Zapomniane - odszukane

Złotoryjskie życzenia

Prosimy sobie wyobrazić, że przedmiotem kolekcjonowania mogą być również karty ze świątecznymi życzeniami. Chodzi nam jednak tylko o te, których druk zlecały z tej okazji instytucje, władze, organizacje itp. a ozdabiały je złotoryjskimi motywami. Jak widzimy, popularne były na przykład zarysy panoramy miasta, najważniejszych zabytków oraz innych obiektów. Dobrze, że przynajmniej sylwetki naszych świątyń nawiązywały do religijnego przecież charakteru świąt. Jeszcze kilka lat temu takie walory dość często trafiały do naszych albumów, dzisiaj rzadko, zapewne nie tylko z powodów finansowych. O wiele taniej i bez „niepotrzebnej" fatygi sięgamy teraz po kartki z gotowymi życzeniami – wystarczy nasza parafka lub nawet, o zgrozo, pieczątka.

Roman Gorzkowski

Ocalić od zapomnienia

Tę nową rubrykę przeznaczamy dla wszystkich, którzy chcieliby zwrócić się, nie tylko do mieszkańców ziemi złotoryjskiej, o pomoc przy poszukiwaniu historycznych dokumentów, ustaleniu losów znajomych lub krewnych itp. Rzecz jasna, ogłoszenia będziemy zamieszczać bezpłatnie!

Uwaga modelarze!

Klub Kolekcjonera rozpoczął prace nad dziejami modelarstwa w Złotoryi. Prosimy o pomoc wszystkich, którzy niegdyś np. byli instruktorami w klubach modelarskich, uczestniczyli w ich zajęciach, przechowali fotografie, dyplomy itp. lub chcieliby podzielić się swoimi wspomnieniami. Zapraszamy na spotkania Klubu – w każdą środę o 17.00 w siedzibie TMZZ. Czekamy na kontakt pisemny, telefoniczny lub mailowy: Roman Gorzkowski, rogorz@poczta.fm, 661743992.

S/t „Kaczawa" i Złotoryja

Jak wynika z naszych wiadomości, w latach 1969-1970 (i chyba w następnych latach) bliskie kontakty z naszym miastem utrzymywali marynarze statku rybackiego „Kaczawa". Odwiedzali zwłaszcza Szkołę Podstawową nr 1, a także inne szkoły oraz zakłady pracy. Statek z pewnością dawno poszedł na żyletki, ale historycy TMZZ chętnie przypomnieliby szczegóły tych jedynych wydarzeń w powojennych dziejach miasta. Jeśli ktoś mógłby pomóc w tym zamiarze – prosimy o kontakt j.w.

Roman Gorzkowski

Warto przeczytać

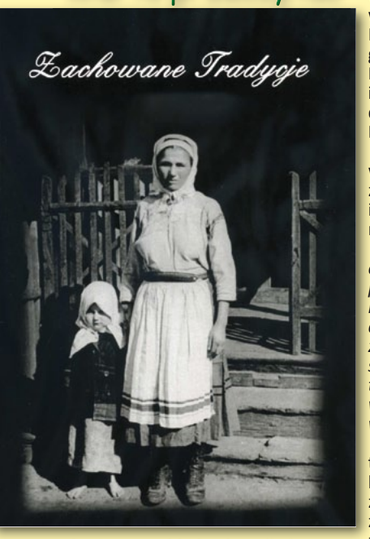

21 marca 2013 roku odbyła się promocja książki, która zasiliła zbiór biblioteki TMZZ i trafiła do rąk licznych uczestników uroczystości. Jest to druga edycja wspomnień mieszkańców Gminy Pielgrzymka. Publikacja „Zachowane Tradycje" ukazała się jako wydawnictwo Gminnego Ośrodka Kultury, Sportu i Rekreacji w Pielgrzymce, pod redakcją Wiolety Michalczyk, Małgorzaty Semeniuk i Sebastiana Dębickiego. W gromadzeniu materiału uczestniczyła także Bogumiła Bachór.

Na 138 stronicach książki zawarto opisy życia codziennego, zwyczajów świątecznych i relacje z innych wydarzeń, jak śluby, komunie, chrzty itp.

We wstępie czytamy: *Dbając o zachowanie tradycji, dbamy o pewne niezmienne formy wspólnego życia – o coś stałego, do czego się wraca jak do domu. Sens życia i wiara w człowieka nie bierze się z pustki, lecz z pielęgnowania tradycji i ocalania pamięci zbiorowej, która stanowi o przyszłości i wielkości narodu.*

Liczne wspomnienia przywołują trudy dnia codziennego dawnych lat. Seniorzy opowiadają o swoim życiu, pracy, wzajemnej pomocy i zabawie, o swojej młodości przeżytej w Gminie Pielgrzymka. Zbieracze przepisów kulinarnych też znajdą coś dla siebie.

Zatem nie traćmy czasu i sięgnijmy po wspomnienia.

Danuta Sosa

Kącik starej widokówki

Zapraszamy do Wilkowa

Złotoryjanie muszą nam wybaczyć, że tym razem przenosimy się do Wilkowa. Okolice miasta jak najbardziej zasługują na bliższe poznanie! Nic nie stoi na przeszkodzie, aby przy najbliższej okazji wybrać się tam i spróbować porównać fragmenty dawnej i dzisiejszej wsi. Nawet bez głębszej znajomości języka niemieckiego, możemy się domyślić, że widokówka pokazuje gospodę, szkołę, pomnik (upamiętniający zapewne I wojnę światową) oraz jedną z innych części Wilkowa. Ciekawi nas, czy obiekty te jeszcze istnieją oraz to, gdzie były – lub są – zlokalizowane. Wraz z odpowiedziami (które, jak zwykle, nagrodzimy książkami o ziemi złotoryjskiej) mile widziane współczesne fotografie tych samych miejsc!

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Niezapomniany sakrament

Pod pewnymi względami pierwsza komunia święta to jak początek pontyfikatu Ojca Świętego! Oba wydarzenia powinny mieć kolosalne skutki. Gdzieś, w latach 60. ubiegłego stulecia, zapewne w jednej z okolicznych miejscowości, powstała prezentowana fotografia. Kogo jednak przedstawia? Oczekujemy odpowiedzi, z nadzieją, że otrzymamy ją od najważniejszych postaci, czyli od dorosłych już dzieci, które wówczas przystąpiły do tego sakramentu.

Roman Gorzkowski

Komu przekażesz 1% swojego podatku za 2012 rok?

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 25 lat. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, rajdy i wycieczki, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

- Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- Echo Złotoryi
- Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- Złotoryjski Klub Fotograficzny
- Koło Kresowian
- Klub Kolekcjonera
- Rajdy i szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba
- Księgarnia internetowa.

1% - wielkie możliwości

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

KRS 0000124632

Echo Złotoryi

Złotoryjski Klub Fotograficzny

Kopalnie Surowców Skalnych S.A. Złotoryja

Lena Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne BAZALT „Bazalt" SA w Wilkowie

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi

POAR Złotoryja

VITBIS szklane bombki choinkowe

KOSD WILKÓW Kopalnie Odkrywkowe Surowców Drogowych Sp. z o.o. w Wilkowie

grysy bazaltowe
STONESPOL
płukane
kolorowe
posypki
mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

GALERIA SPONSORÓW

INŻYNIERIA INKOBUD ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

Lasy Państwowe
Nadleśnictwo Złotoryja

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 (Dom Nauczyciela „Bacalarus"),
tel. 76 8788137, Internet: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Anna Chrzanowska (sekretarz redakcji), Roman Gorzkowski, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (redaktor naczelny), Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Krystyna Zalewska, Jolanta Zarębska (korekta).
Zdjęcie na okładce: Robert Pawłowski - Pałac w Wojcieszowie przy ul. Bolesława Chrobrego 48